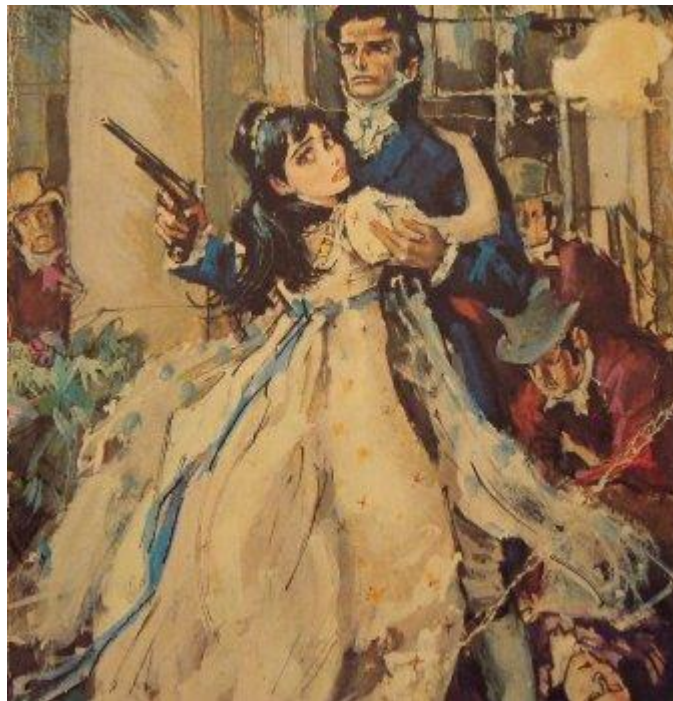


Barbara Cartland

Czarownica

The blue-eyed witch



Rozdział 1

ROK 1800

Markiz Aldridge ziewnął. Przebywanie w tym rozpustnym miejscu stanowczo go nudziło. Mimo że jego romanse były przedmiotem nieustających plotek w wielkim świecie, nie gustował nigdy w domach nierządu ani w płatnej miłości, jaką tam oferowano. Dziś jednak został zmuszony do przyjęcia zaproszenia od jednego ze znajomych, który pragnął dostarczyć rozrywki księciu Walii i wyrwać go ze stanu przygnębienia, w jakim trwał od kilku tygodni.

Markizowi przyszło na myśl, że znalazłszy się na miejscu księcia trudno byłoby nie popaść w depresję. Nie tylko jego małżeństwo okazało się pomyłką, lecz dodatkowo uwikłał się w związek z lady Jersey, od której nie mógł się uwolnić. Książę będąc człowiekiem skłonny do przesady, gdy chodziło o własne uczucia, i wobec wyraźnej niechęci, jaką żywił do żony, księżnej Karoliny, postanowił, że jedynym wyjściem z sytuacji będzie odnowienie miłosnych związków z panią Fitzherbert.

Podczas gdy dwanaście przebranych za nimfy dziewcząt wykonywało taniec obrazujący „Święto Wenus” obchodzone jakoby na Tahiti, markiz nie myślał o przedstawieniu, lecz o księciu Walii, którego darzył wielką sympatią i z którym bardzo się zaprzyjaźnił w ciągu ostatnich dziewięciu lat. Nie dziwiło go, że dojrzałe wdzięki lady Jersey znudziły się księciu, i był zdania, że im szybciej książę się jej pozbędzie, tym lepiej.

Dama ta z wielką determinacją broniła swej pozycji królewskiej faworyty. To ona była odpowiedzialna za zniszczenie małżeństwa księcia, zanim zostało zawarte. To ona go omotała i odciągnęła od pani Fitzherbert jeszcze przed pojawieniem się księżnej Karoliny. Choć wybór narzeczonej był błędnym posunięciem ze strony ministrów, jednak para

książęca miała szansę na ułożenie sobie życia, choćby na przyjaznej stopie, gdyby nie wpływy lady Jersey.

- Jak on mógł okazać się na tyle nierozważny, żeby wdać się z nią w romans? - zastanawiał się markiz.

Nie należy się dziwić, że pani Fitzherbert od samego początku była bardzo zazdrosna. Lady Jersey poważnie zagrażała ich związkowi, gdy tylko zaczęła uwodzić księcia, a trzeba przyznać, że był on niezwykle podatny na okazywane mu uczucia.

Nie ulegało wątpliwości, że zamierzała go omotać ze względu na jego pozycję, jak również dla zapewnienia sobie interesującego towarzystwa, ponieważ książę był mężczyzną przystojnym, dowcipnym i odcytanym. Lady Jersey natomiast uchodziła za uznaną piękność, mówiono nawet, że jej urokowi trudno się oprzeć. Kobiety określały ją inaczej: „piękna, ale sprytna i bez zasad”.

Była o dziewięć lat starsza od księcia, co potwierdzało jego upodobania do kobiet dojrzałych. Tym razem dostał się w ręce osoby ambitnej, doświadczonej, obdarzonej niezwykle intuicją, lecz absolutnie pozbawionej uczuć. Choć lady Jersey skończyła już czterdzieści lat, książę był nią zachwycony i bardzo w niej zakochany.

- Jak on mógł postąpić ze mną w taki sposób? - skarżyła się markizowi pani Fitzherbet, dodając z płaczem, że zapewne pod wpływem lady Jersey książę przysłał jej list oznajmiający, iż „szczęście znalazł gdzie indziej”.

- Przykro mi - odpowiedział markiz - ale lady Jersey już od pewnego czasu usiłuje przekonać jego królewską mość o niewłaściwości związku z panią. Słyszałem nawet, jak mówiła, że pani katolicyzm jest powodem jego niepopularności.

- I on wierzy w takie kłamstwa? - westchnęła pani Fitzherbert.

- Wspominała też w mojej obecności - kontynuował markiz - że gdyby nie pani, księżę z łatwością pozbyłby się kłopotów finansowych.

Pani Fitzherbert zdenerwowała się nie na żarty.

Zarówno ona, jak i markiz, wiedzieli dobrze o roztrwonionym przez księcia majątku, który pozostawił jej zmarły mąż. Markiz był przekonany, że pomimo oczarowania lady Jersey, księżę nie potrafi żyć bez pani Fitzherbert. Prawda była taka, że chciałby mieć obie te kobiety.

Mimo łagodnego usposobienia pani Fitzherbert okazała się nieugięta i stale wybuchały kłótnie o lady Jersey. W końcu pięć lat temu księżę zerwał stosunki z panią Fitzherbert i oświadczył królowi, że jeśli spłaci jego długi, gotów jest się ożenić. Od tego momentu, zdaniem markiza, zaczęło dziać się źle. Niektórzy uważali, że małżeństwo uwolni księcia od długów, co było jednak niemożliwe, ponieważ przekraczały one sześćset tysięcy funtów. Wyrażali też nadzieję, że zerwie z lady Jersey, lecz on tylko umieścił ją w domu sąsiadującym z Carlton House. Księżna nazywała ją starą wiedźmą, a księżę zbyt późno przekonał się, że miała rację.

Markiz tak bardzo pograżył się we wspomnieniach, że ledwie zauważył, jak długo trwało przedstawienie. Dwanaście uroczych nimf, o których powiadano, że są czyste i niewinne, tańczyło pod wodzą królowej Oberei odgrywanej przez samą panią Hayes. Charlotte Hayes od kilku lat prowadziła z dużym powodzeniem dom uciech przy Pall Mall. Nie była już młoda i, jak markiz przypuszczał, zarobiwszy sporo pieniędzy, wkrótce wycofa się z interesów.

Przyglądając się gościom obecnym w przybytku pani Hayes, markiz pomyślał, że w niewielu salonach bywa wykwintniejsze towarzystwo. Wśród zgromadzonych naliczył dwudziestu trzech dżentelmenów należących do najwyższych sfer, z księciem Walii na czele, oraz pięciu członków

parlamentu. Poczęstunek był doskonały, wina znakomite, a choć markiz wiedział, że za wszystko słono zapłacono, musiał przyznać, iż pani Hayes umiejętnie zadbała o zadowolenie swoich gości.

Dziewczęta odgrywające nimfy były urocze, a inne, które pani Hayes nazywała hostessami, wyróżniały się nie tylko obyciem towarzyskim, lecz także niezwykłą urodą. Podczas kolacji obok markiza siedziało dziewczę o imieniu Yvette. Podawała się za Belgijkę, lecz był przekonany, że urodziła się we Francji. Czarowała dowcipem i spojrzeniami rzucanymi mężczyznom spod na wpół przymkniętych powiek. Z takim zachowaniem markiz spotykał się wielokrotnie, lecz dzisiaj drażniące było to, że wciąż starała się go dotykać.

- Bardzo pan milczący, milordzie - powiedziała Yvette wydymając karminowe usteczka.

Zrobiłoby to z pewnością wrażenie na młodszym mężczyźnie, markiz natomiast z trudem powstrzymał ziewnięcie.

- Tego typu przedstawienia pantomimiczne bardzo mnie nużą - odrzekł.

- A może pójdzie pan ze mną, mon chere? - zapytała. - Postaram się lepiej pana zabawić.

Przedstawienie oparte na relacji pozostawionej przez towarzysza wyprawy kapitana Cooka o nazwisku Hawkesworth w jego książce „Opis podróży dookoła świata” wydanej w 1773 roku, miało się ku końcowi. Goście, którzy nadużyli jedzenia i trunków, rozsiadali się teraz na kanapach mając za towarzyszki przydzielone sobie hostessy lub też skąpo przyodziane nimfy, które zakończyły swoje występy.

Książę Walii, jak markiz zauważył, sporo wypił i z pewnością zapomniał o wszystkich swoich kłopotach. Lecz markiz nie miał wątpliwości, że wrócą nad ranem, aby znów dręczyć jego książęcą wysokość. Najbardziej przykre sytuacje

stwarzała lady Jersey, która nie odstępowała księcia, gdziekolwiek się pojawił, i starała się rozmawiać z nim wówczas, gdy wcale nie miał na to ochoty.

- Dobrze, że chociaż tutaj za nim nie przyszła - powiedział do siebie markiz. - Zaraz też pomyślał ze złością o swoich stosunkach z lady Brampton, które wcale nie były lepsze, niż łączące księcia i lady Jersey. - Czemu kobiety nie potrafią zrozumieć, że romans kiedyś się kończy? - zapytał samego siebie.

- Pan coś mówił, milordzie? - zaszczebiotała Yvette i dopiero teraz zorientował się, że swoje myśli wypowiadał na głos. Przysunęła się do niego i zbliżając usta do jego ucha wyszeptała: - Zabawimy się, mon brave! Zapomni pan o całym świecie przy Yvette. Zobaczy pan, jak nam będzie dobrze.

Markiz odsunął obejmującą go Yvette i wstał.

- Nie jestem dziś w nastroju - powiedział. - Proszę przekazać pani Hayes podziękowania za to barwne i niezwykle widowisko.

- Ależ nie, milordzie! - zaprotestowała Yvette. Uspokoila się dopiero, gdy markiz wręczył jej

pokaźną kwotę pieniędzy, na widok której zaniemówiła. On tymczasem szybkim krokiem opuścił pokój i mijając hol wyszedł z budynku, zanim ktokolwiek z gości to zauważył. Powóz już podjechał, więc rozparł się wygodnie na miękkim siedzeniu. Stangret okrył mu nogi pledem i czekał na rozkazy.

- Do domu! - powiedział markiz.

Konie ruszyły po pochyłości ulicy św. Jakuba, kierując się w stronę Piccadilly i dalej na Berkeley Square. Rodowa rezydencja Aldridge'ów prezentowała się imponująco. Ojciec markiza odnowił ją i doprowadził do takiego stanu, że śmiało mogła konkurować wielkością i komfortem z Carlton House. Aldridge'owie od pokoleń byli miłośnikami sztuki, a dzieła

nagromadzone przez nich w ciągu wieków stworzyły olbrzymią kolekcję, z którą mogły się równać tylko nieliczne zbiory na terenie Anglii. Lecz markiz przechodząc przez wykładany marmurem hol nie zwracał na nic uwagi, czuł tylko ogromne znudzenie. Wszedł do biblioteki, skąd rozciągał się widok na ogród, w którym często przesiadywał, gdy był w domu sam. Lokaj otworzył przed nim drzwi, poczekał, aż wejdzie, i po chwili powiedział:

- Na biurku leży list do waszej wysokości. Goniec prosił o powiadomienie, że to pilne.

Markiz nic nie odrzekł. Spojrzał na list i od razu rozpoznał nadawcę.

- Do diabła z tą kobietą! - powiedział do siebie. - Czy ona da mi wreszcie spokój?

Nie wziął nawet listu do ręki. Usiadł w fotelu i odruchowo przyjął od lokaja kieliszek brandy. Po chwili służący opuścił pokój, natomiast markiz wpatrywał się nie widzącym wzrokiem w wiszący na przeciwległej ścianie wspaniały obraz Rubensa. W bibliotece było niewiele obrazów, a i te nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Rozmyślał o jasnowłosej Nadine Brampton. W jej niebieskich oczach widniało to samo zdecydowanie i nieugiętość, jakie charakteryzowały lady Jersey. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie łatwo uwolnić się od niej. Lady Brampton miała zaledwie dwadzieścia sześć lat, lecz spryt i rozwagę dojrzałej kobiety. Ta Ewa postanowiła, że on będzie jej Adamem trzymanym na uwięzi w rajskim ogrodzie. Wydano ją za mąż w wieku siedemnastu lat za dużo starszego mężczyznę, który wkrótce zupełnie zniedołężniał, a ona dzięki swojej urodzie szturmem zdobyła cały Londyn.

Była piękna, dobrze urodzona, bogata. Pod delikatną urodą jasnej blondynki krył się jednak ognisty temperament, sprawiający że zmieniała kochanków jednego po drugim, ponieważ ją nudzili. Tak było do spotkania markiza. To, co

uważała początkowo za przelotny kaprys, przerodziło się w poważny romans, w który zaangażowała się całym sercem.

Markiz miał wrażenie, że wpadł w niebezpieczny wir. Zazwyczaj egoistyczny w miłości, nie potrafił się sprzeciwić Nadine Brampton. Jeśli książę miał kłopoty z lady Jersey, to on też po raz pierwszy w życiu nie wiedział, jak zakończyć nużący romans. Lady Brampton zasypywała go liścikami, prezentami, zaproszeniami. Pojawiała się w jego domu w najbardziej nieoczekiwanych momentach, zupełnie nie licząc się faktem, że naraża na szwank swoją reputację.

Starła się, sobie tylko znanymi sposobami, uczestniczyć w każdym przyjęciu lub być na każdym przedstawieniu w teatrze, jeśli mogła tam spotkać markiza. Nękała go swoją obecnością na konnych przejażdżkach w parku, a nawet podczas pełnienia obowiązków przy księciu w Carlton House, co zdarzało się niemal codziennie. Pojawiała się prosząc o audiencję i otrzymywała na nią zgodę, ponieważ jego książęca mość był z natury dobroduszny i lubił ładne kobiety. Markizowi nigdy nie udawało się namówić księcia, żeby ją odprawił.

Tylko w dzisiejszym wieczorze ze zrozumiałych względów nie mogła brać udziału, co dla markiza było pewną pociechą. Nie spodziewał się, aby imitacja tahitańskiej zabawy potrafiła rozchmurzyć księcia na dłuższy czas. Był pewien, że jutro znów usłyszy potok skarg na lady Jersey i przesadnie wyrażane pragnienie ponownego połączenia się z panią Fitzherbert. O ile jednak książę chciał powrócić do niej, ona wyraźnie go unikała. Przeniosła się do Brighton, wydzierżawiła swoją rezydencję i zamieszkała w skromnym domku, odmawiając wszelkich rozmów na temat możliwości pogodzenia się z księciem.

- Co raz zostało zerwane, nigdy już połączyć się nie da - powiedziała do markiza, gdy ten usiłował pomóc księciu i

błagał ją, żeby choć wysłuchała, co jego książećca mość ma do powiedzenia.

Markiz przywiózł ze sobą upominki w postaci medalionu z podobizną księcia oraz bransoletki z wygrawerowanym napisem: Rejoindre ou mourir. Pani Fitzherbet przyjęła wprawdzie podarki, lecz odmówiła spotkania z ofiarodawcą.

- Ja oszaleję! Umrę, jeśli ona mnie nie zechce! - dramatyzował książę.

Znajdował się w takim stanie, że jego przyjaciele obawiali się, iż popadnie w jakąś poważną chorobę, ale nic nie mogli poradzić na upór pani Fitzherbert.

Moja i jego sytuacja jest zdecydowanie różna - rozmyślał markiz. - Nie grozi mi przynajmniej szaleństwo z powodu Nadine Brampton. Muszę jednak koniecznie przedsięwziąć jakąś akcję. Tak dalej być nie może!

Zacisnął wargi, kiedy uświadomił sobie, że wytrwałość lady Brampton w adorowaniu go może stać się przedmiotem drwin. Dotychczas on łamał kobiece serca, okazując w romansach cyniczną obojętność. Skłaniało to znajome damy do podejmowania wysiłków, które miały na celu zawładnięcie jego uczuciami. Żadna z tych kobiet nie wątpiła, że właśnie jej uda się odnieść sukces i usidlić go na dobre. Każda miała nadzieję, że tym razem markiz się zakocha. Jednak szybko okazywało się to niemożliwe.

Był hojny, gdy chodziło o dawanie prezentów, potrafił zręcznie i inteligentnie prawić komplementy, okazywał się mistrzem w miłości, co przyznawały wszystkie kobiety, którym ofiarował swe względy - i to było wszystko! Żadna z dam nie zdołała zdobyć jego serca, a po spędzeniu z nim nocy nie mogła być pewna, że uznał ją choćby za atrakcyjną.

- Jesteś wprost nieludzki! - oznajmiła mu jedna z dam. - Czy uważasz się za bóstwo zniżające się do poziomu ludzi chodzących po ziemi? Skąd ta rezerwa i obojętność?

Markiz pocałunkami ukoił jej rozżalenie, lecz dama była przekonana, że nigdy się już nie zobaczą.

- Wiesz, Oswinie - powiedział kiedyś jego najlepszy przyjaciel, kapitan George Summers - gdybyś tak często zmieniał konie, jak zmieniasz kobiety, w całym kraju nie byłoby już ani jednego konia czystej krwi.

Markiz uśmiechnął się. Ponieważ razem służyli w wojsku i dzielili trudy wojaczki, pozwalał kapitanowi na obcesowość, jakiej nie tolerowałby u nikogo innego.

- Kobiety nic dla mnie nie znaczą, George - odpowiedział - i jest to główna przyczyna, dla której nigdy nie zamierzam się ożenić!

- Ależ powinieneś to zrobić - tłumaczył kapitan Summers.
- To jest, mój drogi, obowiązek markiza. Musisz przecież mieć potomka i dziedzica.

- Mam kuzynów, którzy bez trudu mogą zająć moje miejsce - odrzekł markiz. - Każdy z nich z radością odziedziczy po mnie tytuł.

- Ależ to nonsens myśleć o czymś podobnym w twoim wieku - rzeki kapitan Summers. - Poza tym powinieneś osiąść już gdzieś na stałe. Nie możesz trawić życia na ocieraniu łez księciu i na tułaniu się z jednej sypialni do drugiej.

- Trafiłeś w samo sedno - odpowiedział markiz. - Mam już naprawdę dosyć wstawania w środku nocy i skradania się chyłkiem po słabo oświetlonych korytarzach. Muszę się ograniczyć do odwiedzania bardzo miłego domu w Chelsea, który niedawno kupiłem dla pewnej osoby. Znajduje się on w pobliżu szpitala ufundowanego przez Nell Gwynn.

- Czyżbyś zamierzał naśladować Karola II? - zapytał kapitan Summers ironicznie, a po chwili dodał: - Masz niewątpliwie coś wspólnego z Karolem. Podobnie jak on potrafisz wypatrzeć najpiękniejszą kobietę w twoim otoczeniu i tak jak on porzucić ją dla nowej ładnej twarzyczki.

- Jednak on był mocno uwikłany w awanturę z Barbarą Castlemaine!

Kapitan Summers spojrział na markiza porozumiewawczo.

- Lady Brampton zaczyna czuć się zbyt pewna siebie - rzekł. - Czy wiesz, że jej mąż jest umierający? Nie dają mu więcej jak dwa miesiące życia. Możesz być przekonany, Oswinie, że ona zaciągnie cię do ołtarza.

- To się jej nie uda! - odrzekł porywczo markiz. - Tłumaczyłem już, George, że nie zamierzam się żenić, a zwłaszcza z Nadine Brampton!

- Ależ do niej tak bardzo pasowałyby klejnoty Aldridge'ów - zauważył kapitan Summers.

- Być może - zgodził się markiz. W tym momencie z przerażeniem pomyślał o rękach lady Brampton zaciskających się wokół jego szyi. Nigdy jeszcze nie widział tak zaborczej kobiety. - A niech to wszyscy diabli! Muszę uciekać, George! Spróbuję wstąpić znów do wojska i walczyć przeciw Bonapartemu.

- Nie sądzę, żebyś był tam potrzebny - rzekł George Summers.

- A to czemu? - zdziwił się markiz. - Byłem przecież dobrym żołnierzem.

- Nie da się temu zaprzeczyć - uspokajał go przyjaciel - lecz tam nie potrzebują markizów. Trudno mi sobie wyobrazić ciebie w koszarach Wellingtona. - Markiz milczał, więc kapitan Summers kontynuował: - Gdyby cię wzięto do niewoli, Bonaparte nie omieszkałby tego wykorzystać. Jestem przekonany, że po wstąpieniu do armii nie wysłano by cię na kontynent.

Markiz przypominając sobie tę rozmowę wiedział, że George Summers miał rację. Nie mógł jednak zostać w Londynie i opiekować się księciem Walii czy też wymyślać sposoby na uniknięcie spotkań z lady Brampton. Jeśli

pozostanie, już jutro będzie musiał wysłuchiwać lamentów księcia i wozić jego historyczne liściki do pani Fitzherbert. A w chwilach wolnych od tych zajęć czekać na niego będzie lady Brampton, dowiadując się, o której godzinie wybiera się na konną przejażdżkę, u kogo będzie jadł kolację, a jeśli nie uda jej się uzyskać informacji, po prostu zapuka do jego drzwi osobiście.

- Wyjadę na wieś - postanowił markiz.

Wstał i właśnie chciał przywołać lokaja, ale się powstrzymał. Gdyby pojechał do rodzinnej siedziby w Hertfordshire, lady Brampton z pewnością by go tam odnalazła. Już to raz uczyniła, pojawiając się nie zaproszona na urządzanym przez niego przyjęciu, a on nie mógł jej wyprosić bez wywołania skandalu. Był przekonany, że czeka tylko na okazję wprawienia wszystkich w poruszenie. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że pragnie plotek na ich temat, a kiedy zostanie wdową, będzie domagać się małżeństwa dla ratowania reputacji.

- Tam do licha! - powiedział markiz. - Jestem osaczony ze wszystkich stron!

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Wczoraj pan Graham, osobisty sekretarz markiza, pokazał mu list przysłany przez administratora jednego z majątków na prowincji. Jego rozlicznymi posiadłościami ziemskimi zawiadywali zarządcy, którzy mieli obowiązek comiesięcznego przesyłania sprawozdań do pana Grahama. Zazwyczaj sekretarz nie trudził nimi markiza, robiąc to tylko w wyjątkowych przypadkach, kiedy nie wiedział, jak rozwiązać dany problem. Właśnie raport z Ridge Castle, a właściwie jego następujący fragment, pan Graham pokazał markizowi:

Po śmierci Harolda Trydella zaczęły się zamieszki wśród pracowników na farmach. Jego syn Caspar, który odziedziczył

majątek, naraził się zarówno farmerom, jak i robotnikom rolnym, z powodu swoich działań zmieniających stare tradycje i przyzwyczajenia.

Odnoszę wrażenie, choć mogę oczywiście się mylić, że jeśli sprawy nadal będą toczyć się tym torem, możemy się liczyć z buntem. Autorytet jego lordowskiej mości mógłby uciszyć rozpalone namiętności. Myślę, że należałoby dać zatrudnienie miejscowym, aby ulżyć im w kłopotach finansowych.

- A więc lord Harold nie żyje! - zawołał markiz oddając raport panu Grahamowi.

- Umarł przed trzema miesiącami. Wspominałem panu o tym, milordzie, ale musiał pan nie zwrócić uwagi.

- W istocie, jest to dla mnie nowa wiadomość - rzekł markiz. - Prawdę powiedziawszy, nigdy nie lubiłem Caspara Trydella. Jaka szkoda, że jego starszy brat utonął.

- Znał pan zapewne pana Johna Trydella, milordzie.

- Przyjaźniliśmy się za moich chłopięcych lat spędzonych w Ridge Castle - odrzekł markiz.

- Ach tak.

- On zapewne prawidłowo zarządzałby majątkiem, lecz nie dano mu szansy. Stary lord Harold był prawdziwym tyranem wobec własnych synów - zauważył markiz.

- Zdaje się, że lord Caspar odziedziczył wiele cech ojcowskich.

- W istocie - powiedział markiz. - Widywałem czasem Caspara Trydella w Londynie, choć obracał się w zupełnie innych kręgach towarzyskich. Wyglądał na wielkiego hulakę i rozpustnika. - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - Pamiętam, jak John Trydell opowiadał mi, że jego brat tonie w długach. Myślę jednak, że lord Harold był zamożnym człowiekiem, więc jego jedyny syn odziedziczył po nim wszystko.

- To prawda, milordzie - rzekł pan Graham - Jednak to niemiłe, jak lord Caspar obraża miejscowych. Ludzie w Essex różnią się od mieszkańców innych stron, zachowali bowiem wiele cech średniowiecznych.

Markiz pomyślał, że pan Graham nieco przesadził. Kiedy teraz przypomniawszy sobie tę rozmowę, nasunęła mu ona pewien pomysł. Może przecież odwiedzić Ridge Castle, nie był tam od lat. Bardzo rzadko myślał o swoim majątku położonym między rzeką Blackwater i morskim wybrzeżem. Kiedy był chłopcem lubił te strony i spędzał tam często wakacje.

- Pojadę do zamku - zdecydował. - Zakażę Grahamowi mówić komukolwiek w Londynie, dokąd się udałem. To mnie uchroni od Nadine Brampton, a do księcia napiszę list z wyjaśnieniami.

Tak bardzo ucieszył się myślą o ucieczce, że nawet zniknęło znużenie, które go opanowało tego wieczoru. Postanowił odwiedzić śliczną aktoreczkę, dla której zakupił dom w Chelsea, o czym opowiadał kapitanowi Summersowi. Hester Delfine w pewien sposób przypominała Nell Gwynn. Była jednak osobą bardziej wykształconą i lepszą aktorką. Miała cięty dowcip, czym bawiła markiza, i tylko rudymi włosami upodabniała się do Nell. Markiz nie wykazywał jednak szczególnego upodobania do rudowłosych kobiet, wolał niebieskookie blondynki.

- To dlatego, że sam masz ciemne włosy - tłumaczyła lady Brampton, kiedy podczas intymnego spotkania dotykał jej złocistych splotów.

- Czy człowiek zawsze musi robić to, czego się po nim spodziewają inni? - zapytał markiz z odcieniem irytacji.

- A czemu nie? - zdziwiła się Nadine Brampton. - Przecież ciemnym mężczyznom podobają się kobiety jasnowłose, a jeśli są wysocy lubią małe i delikatne.

Niewysocy mężczyźni gustują w kobietach typu Junony czy Amazonki, podobnie jak małe pieski kręcą się wokół dużych.

Być może właśnie dlatego markiz wybrał na swoją kochankę rudowłosą aktorkę. Na jego wybór wpłynął również fakt, że Hester Delfine adorowało wielu elegantów z ulicy św. Jakuba. Z satysfakcją sprzątnął ją im sprzed nosa. Już wcześniej powiadomił Hester, że po występach u pani Hayes nie pojawi się u niej, lecz zmienił ten zamiar. Zadzwoił na lokaja i powiedział:

- Zamów dla mnie powóz i poinformuj pana Grahama, że jutro rano wybieram się na wieś.

- Czy zamierza pan długo tam zabawić, milordzie?

- Nie mam pojęcia - odparł markiz. - Zamierzam wyruszyć o dziewiątej rano.

Oznaczało to, z czego kamerdyner zdawał sobie doskonale sprawę, że służący markiza, którzy już pokładli się spać, będą musieli wstać i zabrać się do pakowania bagaży. Należało także przygotować karete podróżną, jak również powóz, w którym pojedzie służba i bagaże. W orszaku markiza musi znaleźć się sześciu konnych, a także jego ukochany rumak pod opieką stajennego.

Taki wyjazd to ogromne przedsięwzięcie wymagające wielu przygotowań, zatem cały dom trzeba będzie postawić na nogi. Markiz nie przejmował się sprawianiem służbie kłopotu. Za to im przecież płacił i oczekiwał wykonania poleceń szybko i dokładnie.

Gdy markiz podał kamerdynerowi adres w Chelsea, gdzie zamierzał się udać tego wieczoru, ten przekazał go lokajowi i stangretowi. Żaden ze służących nawet drgnieniem głosu nie dał po sobie poznać, że wie, dokąd i po co markiz się udaje. Dopiero kamerdyner, wchodząc do oświetlonego holu z zamiarem obudzenia wszystkich do gorączkowej pracy, pozwolił sobie na leciutki uśmiezek.

- Jego lordowska mość jest nieodrodnym dzieckiem swoich rodziców - powiedział do siebie.

Wszyscy byli dumni ze swego pana i jego zachowania. Taka już była tradycja w rodzinie Aldridge'ów.

Drogę do Chelsea markiz przebył szybko i wkrótce jego powóz zatrzymał się przed domem stojącym przy Royal Avenue. Lokaj zeskoczył, żeby zadzwonić do drzwi. Otworzyła mu służąca w przekrzywionym czepku na głowie i pośpiesznie zawiązanym fartuszku.

- Jego lordowska mość przyjechał! - oznajmił lokaj.

- Pani nie oczekiwała go dzisiejszego wieczoru!

- Ale on tu jest - szepnął służący tak, żeby markiz niczego nie zauważył.

Lokaj podbiegł do powozu i otworzył drzwiczki. Markiz wysiadł niechętnie. Już zaczął żałować, że zdecydował się odwiedzić Hester, zamiast położyć się do łóżka. Wypadło jednak powiadomić ją o planowanym wyjeździe, choć z pewnością w przeciwieństwie do lady Brampton nie będzie się o niego niepokoić. Wszedł do niewielkiego, wąskiego holu i od razu poczuł wyraźny zapach gotowania.

- Pani niedawno wróciła z teatru - wyjaśniła pokojówka. - Teraz jest w jadalni.

Za jadalnię służył mały pokój na tyłach domu, którego markiz nie lubił i rzadko tam zachodził. Zabierał Hester zazwyczaj na kolację do jednego z wesołych lokalików na West Endzie, odwiedzanych przez świątek teatralny. Chodzili też na przyjęcia urządzone przez dżentelmenów lubujących się w towarzystwie aktorek.

Minał hol i wszedł do jadalni. Hester siedziała przy stole w towarzystwie aktora, którego już nieraz z nią widział. Rozmawiali nachyleni ku sobie i markiz odniósł wrażenie, że im przeszkodził. Oboje spojrzeli na niego zdumieni.

- Milordzie! - zawołała Hester. - Zupełnie nie spodziewałam się pańskiej wizyty dzisiejszego wieczoru.

- Nie zamierzałem przyjeżdżać - powiedział markiz - lecz zmieniłem zdanie, gdy okazało się, że przedstawienie pani Hayes było po prostu nudne.

- Ostrzegałam pana, że tak będzie! - odezwała się Hester Delfine.

Wstała wraz z siedzącym obok niej mężczyzną. Markiz powitał go chłodnym skinieniem głowy.

- Dobry wieczór, Merridon!

- Hester czuła się bardzo samotna i poprosiła mnie, milordzie, żebym zjadł z nią kolację. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw temu.

- Oczywiście, że nie - odrzekł markiz.

- Napije się pan wina, milordzie? - zapytała Hester i przysunęła do okrągłego stolika, stojącego pośrodku pokoju, jeszcze jedno krzesło.

Po skosztowaniu wina markiz poczuł się urażony, że ci dwoje wybrali do wspólnej kolacji jego najdroższy szampan, którego sprowadzenie z Francji nastęczało coraz więcej kłopotów z powodu wrogości narastającej pomiędzy obydwoma krajami. Głupio postąpił przysyłając dwie skrzynki tego trunku. Hester skinęła na lokaja, żeby otworzył następną butelkę. Markiz z trudem powstrzymał się od zamówienia jakiegoś gorszego wina.

- Może zjadłby pan coś, milordzie? - zapytała Hester przymilnie.

Markiz potrząsnął głową.

- Jestem po bardzo obfitym posiłku, który w zamyśle miał być tahitański, a okazał się mieszaniną kuchni francuskiej z angielską, z przewagą, niestety, tej ostatniej.

Aktor uśmiechnął się.

- A jakie było przedstawienie?

- Amatorskie - odparł markiz - Ale czego można się spodziewać po dziewczicach.

- O ile to były dziewice! - zauważyła sarkastycznie Hester. - Nie mam ani za grosz zaufania do Charlotty Hayes. Usiłuje rywalizować z panią Fawkland, która prowadzi kilka domów rozrywki nazwanych świątyniami Aurory, Flory oraz Tajemnic.

- Nie próbowałem tego typu egzotycznych rozrywek - włączył się do rozmowy Merridon - lecz pan Sheridan opowiadał mi, że w „Świątyni Flory” jest dość zabawnie.

- Bo tam pracują nieco starsze, lepiej wyszkolone i bardziej doświadczone dziewczyny - odezwała się Hester.

Markiz wyglądał na znudzonego. Słyszał już w klubie White'a o zaletach najnowszego domu rozrywki, w którym przynajmniej były ślady dobrego smaku i pomysłowości. W „Świątyni Aurory” zatrudniano bardzo młodziutkie dziewczęta, w „Świątyni Flory” nieco starsze, natomiast „Świątynia Tajemnic” była miejscem szczególnie wyuzdanych misteriów. Takie rozrywki nigdy go nie interesowały. Przypomniawszy sobie natomiast, o czym mówiono w klubie, że stałym bywalcem w „Świątyni Tajemnic” jest Caspar Trydell.

Sącząc szampana uświadomił sobie, że zapach w jadalni jest jeszcze bardziej niemiły niż w holu. Tak pachniała golonka, potrawa, której szczególnie nie lubił. Jakby domyślając się jego reakcji, Hester powiedziała:

- Proszę mi wybaczyć, milordzie, taki wybór potraw, ale ja i Frank bardzo lubimy golonkę, podobnie jak zupę z węgorka, od której zaczęliśmy kolację.

Była to kolejna potrawa, której markiz nie jadł. Widywał węgorze wylawiane z Tamizy i sprzedawane na stoiskach ustawionych wzdłuż wybrzeża. Przypominały węże, których obawiał się od dzieciństwa, gdy zobaczył jak żmija ukąsiła

gajowego podczas polowania. Nigdy o tym nie zapomniał, bo życie tego człowieka przez tydzień wisiało na włosku.

Węże i węgorze łączyły się w jego wyobraźni ze wszystkim co niemiłe, czego należy unikać. Nie miał ochoty dłużej przebywać w towarzystwie Hester. Tymczasem Frank Merridon doszedł do wniosku, że to on powinien się pożegnać. Szybko dopił szampana i podniósł się z miejsca.

- Czas na mnie - powiedział. - Jutro rano mam próbę.

Hester spojrzała na niego przepraszająco. Był w teatrze ważną osobistością i nie chciała go urazić. Jednocześnie było oczywiste, że jest zbędny, gdy pojawił się markiz. Lecz markiz także wstał od stołu.

- Wyjeżdżam jutro wczesnym rankiem - powiedział. - Skończcie spokojnie kolację, a ja was opuszczę.

- Ależ nie - zawołała Hester. - Nie może pan odejść!

Markiz ruszył ku drzwiom, a Hester podążyła za nim przytrzymując go za ramię i patrząc w oczy.

- Proszę, niech pan zostanie - błagała.

- Przeszedłem tylko powiadomić cię, że opuszczam Londyn - rzekł. - Nie wrócę wcześniej jak za tydzień lub dwa.

- Tak nieoczekiwanie pan wyjeżdża?

- Mam coś ważnego do załatwienia w jednym z majątków - wyjaśnił. - Wybacz mi, Hester, że przeszkodziłem w kolacji.

Uniósł jej dłoń do ust. Ci, którzy go znali, wiedzieli, że jego wyszukana grzeczność jest najbardziej niebezpieczna. Wyszedł do holu, a ona szła za nim.

- Czy nie mógłby pan zostać? - pytała. - Bardzo pragnę być z panem.

- Innym razem - odrzekł markiz stanowczym tonem. - Otworzył drzwi i wyszedł na świeże powietrze, wolne od zapachu wieprzowiny. - Żegnaj, Hester! - powiedział kierując się w stronę powozu.

Machała mu na pożegnanie, nie zdając sobie sprawy, że było to ich ostatnie spotkanie.

Rozdział 2

Markiz wyruszył rankiem ze swej londyńskiej siedziby w dobrym nastroju. Był wyspany i zupełnie mu nie przeszkadzało, że służba pracowała przez całą noc. Musieli przecież już o świcie wysłać konie pod opieką czterech stajennych, żeby czekały na zmianę w Chelmsford. Markiz zjadł obfite śniadanie, do którego w odróżnieniu od swoich znajomych nie pił ani piwa, ani brandy, tylko kawę. Zdobywała ona w Londynie coraz większą popularność i choć stale otwierano nowe sklepy, popyt na kawę ciągle był ogromny. Wyparła nawet herbatę jako modny napój dam z towarzystwa, lecz starsi panowie utrzymywali, że piwo i brandy są w porze śniadania najodpowiedniejszymi napojami dla dżentelmenów. Markiz jednak dbał o sprawność ciała i trzy lub cztery razy w tygodniu uprawiał szermierkę z mistrzami w tej dziedzinie, ćwiczył również boks w szkole pana Jacksona przy Piccadilly, a także zażywał konnych przejażdżek.

Markiza zaliczano też do najlepiej ubranych mężczyzn z otoczenia księcia Walii. Beau Brummel stawiał go często innym za przykład. Tylko krawcy mieli z nim kłopoty, ponieważ jego muskularne ciało trudno było odziać z wyszukaną elegancją. Tężyzna fizyczna nie była w modzie, a ubiór, według zaleceń Brummela, musiał ściśle przylegać do ciała. Mimo to markiz wyglądał doskonale, choć nie poświęcał strojom większej uwagi. Gdziekolwiek się pojawił uchodził za najprzystojniejszego i najbardziej atrakcyjnego człowieka.

Teraz włożył na głowę cylinder i ujął lejce.

- Do widzenia, Graham - odezwał się do sekretarza. - Proszę nie zapomnieć o moich poleceniach.

- Wszystko zostanie wykonane natychmiast, milordzie - odpowiedział pan Graham z odrobiną wyrzutu w głosie.

Markiz wiedział doskonale, że pan Graham ma świetną pamięć i tylko dzięki niemu dom w Londynie oraz inne posiadłości są znakomicie prowadzone. Mówiąc o poleceniach miał na myśli czek na sporą kwotę, który należało wręczyć Hester Delfine, a także dopilnować jak najszybszego opuszczenia przez nią domu w Chelsea. Markiz nie był mściwy i nie chodziło mu o noc, którą najprawdopodobniej spędziła w ramionach Franka Merridona. Prawdziwą przyczyną pozbycia się jej był obrzydliwy zapach wieprzowiny i obżarstwo, które ci dwoje zademonstrowali w jego jadalni, popijając najlepsze wino, jakiego dostarczył.

Dla niego scena ta była niezwykle wulgarna i przypominała mierne przedstawienie teatralne, w którym utrzymanka podejmuje swego kochanka, gdy pojawia się bogaty protektor. Całe zdarzenie napawało markiza głębokim obrzydzeniem. Często wyrzucał sobie, że jest przesadnie wybredny. Dotyczyło to zarówno jego otoczenia urządzonego z doskonałym gustem, jak i pozostałych dziedzin życia. Zawsze miał piękne, inteligentne kochanki, obdarzone niezwykłymi zaletami ciała i umysłu, a z towarzystwa wybierał damę uznaną wcześniej za niezrównaną piękność i królową sezonu. Lecz Hester dzisiejszego wieczoru ujawniła swoje niskie pochodzenie i gminne gusta, co nie pasowało do obrazu osoby, jaki starała się stworzyć na scenie.

W teatrze otaczała ją aura tajemniczości, roztaczała blask, który zwrócił na nią uwagę markiza. Jej gra była tak dobra, że wybaczał jej liczne gafy i potknięcia w życiu prywatnym. Gdyby się jej baczniej przyjrzał, dużo wcześniej poskromiłby swoje afekty. Teraz jednak, gdy powiadomił o swojej decyzji pana Grahama, całą sprawę można było uznać za zakończoną. Do czeku dołączył pożegnalny list, dziękując jej za wspólnie spędzony czas. Podpisując się wiedział, że ich związek jest definitywnie skończony.

Opuszczając dom uciekał również przed natarczywością lady Brampton. Nie otworzył nawet przesłanego przez nią bileciku, tylko polecił panu Grahamowi przekazać liścik z informacją, że „Jego lordowska mość wyjechał z Londynu na bliżej nieokreślony czas”. Był pewien, że Nadine Brampton nie odnajdzie go w Ridge Castle.

Jako człowiek skrupulatny nie zapomniał poinstruować pana Grahama, żeby służba pod żadnym pozorem nie wyjawiała nikomu, dokąd się udał. Ci, którzy od dawna służyli w Aldridge House wiedzieli, że oznaczało to zakaz udzielania jakichkolwiek informacji o ich chlebodawcy, pod groźbą wydalenia z pracy. Lecz markiz dobrze znał kobiety pokroju Nadine Brampton i ich spryt w uzyskiwaniu potrzebnych informacji. Zdarzało się, że oferowano służbie duże napiwki, zapraszano do gospody i tam pojono wódką, żeby się wygadali, a niektórym grożono pobiciem, jeśli nie zechcą mówić.

- Może pan być pewien, że nikt nie zakłóci pańskiego pobytu na wsi, milordzie - odezwał się pan Graham. - Tylko stajenni i służba kredensowa wiedzą, dokąd pan się udał, a Rigby dobrze potrafi dopilnować chłopców stajennych, to samo dotyczy Bowdena, gdy chodzi o lokajów.

- Gdyby wydarzyło się coś nadzwyczajnego, oczekuję wiadomości przez posłańca - rzekł markiz. - W pozostałych przypadkach proszę decydować samemu. Napisałem już list do jego książęcej mości, tłumacząc mój wyjazd na wieś pilnymi sprawami rodzinnymi.

- Jego książęcej mości bardzo będzie pana brakowało, milordzie - zauważył Graham.

- Jest wielu takich, którzy z radością zajmą moje miejsce - odparł markiz.

George Summers miał rację, dość już czasu spędził na ocieraniu łez następcy tronu. Jadąc przez miasto tak zręcznie

kierował zaprzęgiem, że zwracał uwagę przechodniów. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czuł się całkowicie wolny, niczym uczeń rozpoczynający wakacje. Choć z natury samolubny i egoistyczny w sprawach prywatnych, w życiu publicznym markiz był wielkim patriotą. Rozumiał, jak niewielu mu współczesnych, że stosunek księcia Walii do spraw kraju ma wielkie znaczenie nie tylko obecnie, ale też w przyszłości.

Nawet gdyby księżę nie odziedziczył tronu, to z pewnością w najbliższym czasie zostanie mianowany regentem. Zachowanie króla stawało się coraz bardziej szalone i dziwaczne, poszeptowano że powtórzyły się u niego symptomy poważnej choroby z 1788 roku. Król tracił siły, a jego postępowanie lekarze określali jako „bardzo ekstrawaganckie”. Objawiało się ono gwałtownymi napadami szaleństwa i trzeba było podwoić liczbę osób, które go strzegły.

Z tego powodu księżę powinien wykazywać więcej zainteresowania sprawami polityki. Dzięki wpływom markiza zbliżył się do kręgów opozycji. Wydawał obiady, w których brali udział czołowi jej przedstawiciele: Charles Fox, Sheridan, księżę Norfolk. Przez pewien czas istniała nawet możliwość utworzenia rządu, w skład którego weszłoby kilku członków opozycji oraz niezadowolonych z sytuacji przedstawicieli obecnej administracji, a temu wszystkiemu miał patronować księżę. Lecz na przeszkodzie stanęła niepopularność księcia, która szczególnie wzrosła po jego niefortunnym małżeństwie. Mimo wszystko przyjęcia zwiększyły zainteresowanie księcia polityką, choć jeden z uczestników tych spotkań wyraził się cynicznie:

- O czwartej nad ranem wymowa księcia słabnie z każdą wypitą butelką wina! Może to była prawda, lecz inny gość powiedział, że nigdy jeszcze nie słyszał przemówień wygłoszonych tak wspaniałym językiem. Potwierdzało to

opinię markiza, że księżę obdarzony jest rozumem i inteligencją, tylko należałoby te zalety skierować na właściwe tory.

Zrobiłem dla niego co mogłem - pomyślał - należy mi się odpoczynek.

Czwórka kasztanków pełnej krwi, ciągnących powóz markiza, opuszczała właśnie miasto. Wkrótce znaleźli się na otwartej przestrzeni zmierzając w stronę hrabstwa Essex, najdzikszego i najbardziej zacofanego spośród wszystkich hrabstw otaczających Londyn. Tutaj nie było wielkich posiadłości ziemskich należących do arystokratycznych rodów, tylko drobne gospodarstwa chłopskie i majątki szlachty. Ich właściciele mieszkali tu od pokoleń i rzadko wyruszali poza granice hrabstwa.

Często zastanawiał się, co skłoniło jego pradziadka do kupienia ziemi w tak odludnym miejscu. Wprawdzie zamek w majątku był imponujący, ale nabrał blasku dopiero wtedy, gdy ojciec włożył w jego odnowienie sporo pieniędzy. Zrobił to, jak sądził markiz, tylko dlatego, żeby jego jedyny syn miał gdzie spędzać wakacje, bo sam uważał wyjazdy na wieś za „męczącą i niepotrzebną stratę czasu”.

Dla markiza natomiast przebywanie w zamku było źródłem wielkiej radości. Inteligentnemu chłopcu wystarczało towarzystwo służby i starego nauczyciela. Dzięki temu osamotnieniu poznał okolicznych rolników, a także przyjaciela, Johna Trydella, którego ojciec miał majątek w sąsiedztwie. Kiedy był już dorosłym człowiekiem markiz zastanawiał się często, co skłoniło starszego o osiem lat młodzieńca do przyjaźni z małym chłopcem i doszedł do wniosku, że John w rodzinnym domu czuł się samotny i nieszczęśliwy.

To właśnie John nauczył go strzelać, zabierał na polowania, zapoznawał z okolicą, pokazywał lisie i borsucze

nory oraz gniazda rzadkich gatunków ptaków. Latem razem przepływali rzekę Blackwater, choć John był dużo lepszym pływakiem, a nawet wypływali daleko w morze. Markiz już prawie zapomniał o radości tych beztroskich dni. Dopiero krajobrazy hrabstwa Essex i zapachy pól otoczonych żywopłotami przypomniały mu odległe czasy dzieciństwa. Dzwonki nadał rosły pod lasem, drzewa owocowe obsypane były kwieciami, a ptaki pracowicie wiły sobie gniazda.

Do Chelmsford przybył w rekordowym czasie. W tyle pozostał drugi powóz, którym jechała służba i bagaże oraz zastępca pana Grahama, posłany przez niego do doglądania całego gospodarstwa podczas pobytu markiza na zamku. Trzech konnych eskortowało bagaże, podczas gdy trzech innych jechało za powozem. Pan Graham wysłał też wcześniej czwórkę koni do gospody, żeby zdążyły odpocząć i teraz oczekiwały na przybycie markiza.

Dla osobistego sekretarza było oczywiste, że w zajazdach pocztowych jego pan nie może liczyć na posiłki, do jakich przywykł, przygotowywane przez francuskiego kucharza. We wszystkich gospodach jedzenie było bardzo niesmaczne, podobnie zresztą jak w domach wielu dżentelmenów, gdzie mimo produktów doskonałej jakości podawano potrawy źle przyrządzone i często zimne. Dlatego ci arystokraci, którzy mogli sobie na ten luksus pozwolić, zatrudniali francuskich szefów kuchni, w czym naśladowali księcia Walii, który miał w Carlton House godnego pozazdrosczenia kucharza.

Tylko markiz mógł konkurować z następcą tronu w doborze potraw i win. Kolacje podawane w Aldridge House były gastronomicznymi arcydziełami. Ponieważ książę nie chciał być gorszy od przyjaciela, jego goście dzięki markizowi cieszyli się z wyższego poziomu kulinarnego przyjęć wydawanych w Carlton House. Markiz urządził epikurejskie

uczty tylko w Londynie, natomiast na wsi zadowalał się kuchnią angielską.

Takie właśnie potrawy zamówił dla swego chlebowodawcy pan Graham w przydrożnej gospodzie, gdzie markiz zatrzymał się około południa. Podano mu pasztet z chrupiącą przyrumienioną skórką, delikatną i miękką pieczeń baranią w sosie kaparowym oraz gołąbki, które obracały się na rożnie do chwili, gdy markiz pojawił się na podwórzu gospody. Do tego była jeszcze domowa szynka przygotowana specjalnie przez żonę oberżysty.

Markiz do posiłku popijał miejscowe piwo, a na zakończenie dostał kieliszek koniaku tak wyśmienitego, że aż uniósł brwi z podziwu. Choć nic nie powiedział, był przekonany, że koniak pochodził z przemytu, ponieważ przemytnicze łodzie najczęściej cumowały przy bagnistych wybrzeżach Essex. Nie była to najkrótsza droga do Francji, ale inne szlaki były bardziej niebezpieczne. Duże łodzie, budowane specjalnie do tych celów, przybijały tutaj z większym ładunkiem nie niepokojone przez strażę nadbrzeżną, co zdarzało się na południu.

Koniak był rzeczywiście wyborny i markiz zamówił jeszcze jeden kieliszek. Następnie, przekonany, że nowe konie już na niego czekają, wyszedł na podwórze. Podziękował oberżyście za przyjęcie i szczerze wynagrodził rumiane kelnereczki usługujące mu przy stole. Wsiadł do powozu i biorąc lejce przyjrzał się koniom. Wydały mu się jeszcze lepsze od tych, którymi przyjechał z Londynu. Odkupił je niedawno od pewnego arystokraty, który zgrał się kompletnie w karty, a dług musiał spłacić końmi.

Markiz grał w karty okazjonalnie i nie ulegał dzikiemu hazardowi, jakiemu oddawało się wiele osób. Charles Fox, błyskotliwy polityk, w młodości był tak zagorzałym hazardzistą, że niemal ciągle tonął w długach. Pewnego razu

pojawił się w Izbie Gmin po dobie spędzonej w kasynie gry, a innym razem w ciągu trzech nocy przegrał wraz z bratem trzydzieści dwa tysiące funtów. Cały Londyn powtarzał sobie historyjkę, jak to ojciec Charlesa dowiedziawszy się, że syn zamierza się żenić, powiedział:

- Bardzo mnie to cieszy. W końcu spędzi jedną noc w domu.

Niezależnie jednak od okoliczności, w jakich nabył konie, markiz był niezmiernie rad z ich posiadania. Postanowił, że zakupi w Newmarket jeszcze czwórkę, z którą bez wątpienia uda mu się wygrać wyścig zaprzęgów. Obecnie jechał wąską i krętą drogą, która wymagała od powożącego dużych umiejętności. W końcu wjechał na drogę prowadzącą w stronę rzeki Blackwater. Teraz znał już okolicę i wiedział, że niedługo dotrze do granic własnych posiadłości.

Należało tylko jeszcze minąć nie należącą do niego wioskę Steeple. Gdy się do niej zbliżył, ujrzał ze zdumieniem gromadę ludzi na drodze. Nie był to zwyczajny widok o tej porze dnia, kiedy chłopci pracują na polach. Przemknęło mu przez myśl, że może trafił na jakieś zamieszki, o których wspominał w liście do pana Grahama zarządca majątku. Ujrzał chłopów w siermięgach i kobiety okutane w chusty, jak ciągnęli kogoś czy coś po zapyłonej drodze. Słyszał pokrzykiwania dzieciarni i widział małych chłopców rzucających bryłkami ziemi. Wszyscy tak bardzo byli zajęci tym, co robili, że dostrzegli powóz dopiero wtedy, gdy się do nich zbliżył. Zamykający pochód mężczyźni odwrócili się, krzyknęli coś do pozostałych i tłum rozstał się na boki. Ich zachowanie było niezwykle. Markiz myśląc, że to bunt zatrzymał korne i zawołał:

- Co się tutaj dzieje?

W pobliżu powozu stał starszy mężczyzna o bardziej rozgarniętym wyglądzie, więc zwrócił się do niego:

- Jestem markiz Aldridge - powiedział. - Jadę do Ridge Castle. Chciałbym wiedzieć, co się wydarzyło, czemu nie pracujecie?

Stary człowiek podrapał się w głowę i zdjął wymięty kapelusz.

- Prowadzimy czarownicę, milordzie - odpowiedział. - Będziemy ją topić!

- Czarownicę? - zdziwił się markiz. - Skąd macie pewność, że to czarownica?

Gdy to mówił, przypomniał sobie, że Essex uchodziło za krainę pełną przesądów i zabobonów. Polowania na czarownice i sądy nad nimi odbywały się tutaj już w czasach elżbietańskich.

- Znaleźliśmy ją pośród stosów kamiennych druidów, milordzie - odpowiedział wieśniak. - Leżała na ziemi, pewnie zasnęła po złożeniu ofiary. Kogut leżał obok niej. O, proszę przyjrzeć się krwi na jej sukni!

Markiz oddał lejce służącemu i wysiadł z karety.

- Muszę sam sprawdzić to wszystko.

Był przekonany, że nie chodziło o żadną wiedźmę, tylko o jakąś nieszczęsną staruchę, może szaloną, a może zidiociała ze starości, która wzbudziła niechęć wiejskich ludzi, bo mieszkała sama i czymś im się naraziła. Wysoka postać markiza budziła szacunek zmuszając wieśniaków do zrobienia mu przejścia aż do miejsca, gdzie na ziemi leżała rzekoma wiedźma.

W wyniku szarpania i obrzucania błotem, jej postać przyodziana w ciemny płaszcz przedstawiała żaloszny widok. Markizowi przyszło na myśl, że może kobieta już nie żyje. Zdawał sobie sprawę, co oznacza okrutny średniowieczny obrzęd topienia czarownicy. Kobietę rozebraną z wierzchniej odzieży wiązano sznurem w talii i wrzucano do stawu. Jeśli tonęła, oznaczało to, że jest niewinna, a jeśli wypływała, była

winna zarzucanych jej czynów. Próby ponawiano tak długo, aż w końcu szła na dno.

Leżąca na ziemi kobieta miała długie, ciemne, błyszczące włosy i zapewne nie była stara. Na czubku jej głowy widoczna była krwawiąca rana, jakby od uderzenia jakimś narzędziem.

- Bardzo okrutnie potraktowaliście tę kobietę! - odezwał się markiz do starego mężczyzny, który podszedł za nim do rzekomej czarownicy.

- To nie my zrobili! - odrzekł starzec. - Już taka była, kiedy ją znaleźliśmy. Nasze kobiety tylko trochę ją podrapały, żeby sprawdzić, czy krwawi.

Była to kolejna próba, jakim poddawano czarownice, gdyż wierzono, że na ich ciele są miejsca, które nie krwawią mimo ukłucia igłą. Zazwyczaj, zanim osądzono czarownicę, drapano ją po twarzy i ramionach.

- Krew na jej sukni, to krew koguta - powiedział stary wieśniak, jakby usprawiedliwiając się przed markizem z tego, co uczynili.

Chłopi stracili pewność siebie. Wiedzieli przecież, że nie mają prawa do sądzenia ani do wydawania wyroków. Gdyby nawet kobieta była czarownicą, należało ją postawić przed sądem. W hrabstwie Essex wspominało nie bez dumy, że pierwszy wielki proces o czary odbył się w Chelmsford w 1556 roku. Również później sądzono czarownice.

- Muszę to sprawdzić i przyjrzeć się jej dokładniej - rzekł markiz.

Wieśniak nachylił się i odwrócił kobietę na wznak, odsuwając z twarzy długie włosy. Była bardzo młoda, nie miała więcej jak osiemnaście lat. Jej twarz nosiła ślady licznych zadrapań na policzkach i czole, lecz mimo to widać było, że skóra jest biała i delikatna. Rysy twarzy miała piękne i dziwić się należało, jak doszło do oskarżenia jej o czary i kontakt z szatanem.

- Niech pan spojrzy na tę krew, milordzie! - mówił wieśniak wskazując na suknię wiedźmy.

Miała na sobie odzież zupełnie inną niż jej prześladowcy. Ubrana była w suknię ozdobioną muślinem, który podkreślał białosc jej cery, teraz ubrudzonym i podartym. Pośrodku spódnicy widać było plamę krwi pochodzącej prawdopodobnie z zabitego koguta.

- Powiadacie, że kobieta leżała w kamiennym kręgu druidów? - zapytał markiz.

- Tak, milordzie. Zobaczył ją tam młody Rod idąc do pracy i zawołał innych. A kto leżałby nocą na świętych kamieniach druidów jak nie czarownica.

Markiz nie mógł zaprzeczyć. Z zabobonnym lękiem opowiadano przecież liczne historie o wielkich kamieniach ustawionych pośrodku równiny nad rzeką. Markiz uważał, że umieścili je tu Wikingowie jako znak orientacyjny, lecz okoliczna ludność wierzyła, że jest to miejsce magicznych obrzędów druidów. Chłopi mniej bali się spędzić noc na cmentarzu niż w tym miejscu.

- Czy ona była nieprzytomna, tak jak teraz? - zapytał markiz.

- Ona spała po obrzędowej orgii - odezwał się głos z tłumu.

Był to głos kobiety. One zawsze były bardziej okrutne wobec domniemanych czarownic niż mężczyźni. To kobiety podrapały tę dziewczynę, podarły na niej odzież i pozwoliły dzieciom obrzucać ją błotem.

- Uważacie więc, że ta dziewczyna - rzekł markiz przypatrując się krwawej plamie na sukni rzekomej czarownicy - sama złożyła w ofierze koguta?

- Ma się rozumieć, milordzie - odpowiedziała inna kobieta z tłumu. - Ukreśliła mu łeb i napiła się krwi, co dało jej siły do igraszek z diabłem!

- Niezależnie od tego, czemu miało służyć zabicie koguta
- rzekł markiz - chciałbym wam zadać jedno pytanie. Czy sądzicie, że własnoręcznie zabiła tego koguta?

- Oczywiście, że tak. Tak właśnie zrobiła - posypały się głosy, a ktoś rzucił markizowi pod nogi martwego ptaka.

- Tu jest ten kogut! Proszę mu się przyjrzeć, milordzie!

Ptak był dorodny i trzeba było mieć sporo siły, żeby skrócić mu kark. Teraz wyglądał żałośnie z zakrwawionymi piórami. Markiz przyglądał mu się przez chwilę, po czym powiedział powoli i wyraźnie:

- Jeśli to prawda, co mówicie, na rękach tej kobiety powinny być ślady krwi.

Wszyscy stłoczyli się dokoła i wyciągali szyje starając się przyjrzeć leżącym bezwładnie rękom dziewczyny. Dłonie miała maleńkie, białe, delikatne, o długich palcach i owalnych paznokciach. I choć na jej ciele były ślady zadrapań i błota, dłonie pozostały nietknięte. Chłopi przyglądali się im w milczeniu.

- Ktokolwiek z was zabił koguta na rosół - odezwał się markiz - ten wie, ile potrzeba siły, żeby ukrócić mu szyję. Nie można przy tym nie ubrudzić sobie rąk jego posoką.

- Może ona użyła czarów - odezwał się ktoś niepewnie.

- Wypróbujmy ją, milordzie - upierał się stary mężczyzna.

- Jeśli zacznie tonać, będzie to znak niewinności.

- Nie macie prawa dokonywać żadnych prób. Badanie sprawy należy do sędziego. Wiecie o tym doskonale - rzekł markiz. - Jestem przekonany, że ta dziewczyna, gdy tylko odzyska przytomność, potrafi wyjaśnić, co robiła na uroczysku pośród starych kamieni i skąd się wziął przy niej martwy kogut. Może komuś zależało na tym, żeby została posądzona o czary.

Patrzył na zgromadzonych wzrokiem pełnym nagany i na niektórych twarzach pojawiło się zawstydzenie.

- Chcieliśmy tylko zrobić to, co wydało nam się właściwe, milordzie. Wiele ludzi w okolicy skarżyło się, że ktoś rzuca na nich czary.

- Prawdę powiada - podchwycili inni chórem.

- Willemu Halsteadowi dopiero co padła krowa. Rankiem była zdrowa, aż tu nagle leży nieżywa.

- To nie są dowody obciążające tę kobietę - rzekł markiz.

- Wracajcie do swoich zajęć. I pamiętajcie na drugi raz, że nie wy jesteście od sądenia, lecz sędzia.

Mówił tonem poważnym i groźnym. Tłum powoli zaczął rzednąć. Opadła z nich złość i trudno było wprost pojąć, że drobne ciało leżące na ziemi mogło wywołać tyle strachu, gniewu i nienawiści.

- Co z nią zrobimy, milordzie? - zapytał starszy człowiek.

- Do Chelmsford daleko, a nikt nie zechce dać wozu, żeby ją zawieźć.

- Ja ją wezmę do powozu - powiedział markiz po chwili wahania.

- Pan ją zabierze, milordzie?

- Spróbuję czegoś się o niej dowiedzieć - rzekł. - Mam nadzieję, że żyje. W przeciwnym razie zostanieie oskarżeni o morderstwo.

Dreszcz przerażenia przebiegł przez ciała gapiów. Poczuli się szybko rozchodząc. Pozostał tylko stary mężczyzna i chłopiec trzymający w ręku pacynę błota.

- Połóżcie ją na podłodze w moim powozie - rozkazał markiz.

Dwaj ludzie wykonali jego polecenie. Nie było to trudne, bo dziewczyna ważyła niewiele. Ułożyli ją, jak kazał, i okryli brudnym, zakrwawionym płaszczem. Markiz zajął miejsce powożącego, odebrał lejce z rąk służącego i lekko ponaglone konie ruszyły z kopyta.

Markiz nie odezwał się ani słowem do starego wieśniaka, kierując powóz na zupełnie pustą drogę. Tylko kaczkę pływały po pobliskim stawie, w którym chłopcy zamierzali topić czarownicę. Do zamku pozostało jeszcze sześć mil. Opuszczając wioskę Steeple, markiz znalazł się na własnej ziemi. Zauważył dobrze uprawione pola, obsiane pszenicą i żytem. W rozgrzanym powietrzu czuło się słoną bryzę morską i zapach dzikiego kwiecia. Nad głową śmigały mewy, a tuż przed rozpędzonymi końmi przebiegły drogę młode kuropatwy.

Krajobraz był dziki, płaski i pusty, taki jaki zapamiętał z czasów dzieciństwa. Gdy na tle błękitnego nieba ujrzał zarysy zamku, poczuł wzruszenie, jakiego nie doświadczał od dawna. Szary, potężny, z warowną wieżą, zdawał się swoim ogromem odstraszać potencjalnych napastników. Część domu dobudowana później utrzymana była w stylu klasycznym, w którym celował szkocki architekt William Adam. To dzięki jego geniuszowi normańska wieża tworzyła z resztą zabudowań całość tak doskonałą, że nie zauważało się, iż pochodzi z zupełnie innej epoki.

Zamek otaczały drzewa chroniące go przed zimnymi wiatrami. Teraz pokryte świeżą zielenią mieniły się niczym szmaragdowy aksamit. Trawnik przed frontem domu przypominał wzorzysty dywan z żółtych żonkili. Markiz odniósł wrażenie, że to właśnie kwiaty witają go powracającego do domu. Zatrzymał konie przed wspartym na kolumnach portykiem i w tej samej chwili przyodziani w liberię lokaje podbiegli do powozu. Kamerdyner, którego markiz zapamiętał z dzieciństwa, obecnie siwy i postarzały, czekał na stopniach schodów.

- Witamy, milordzie! - powiedział. - To wielka dla nas radość, gdy wasza lordowska mość przyjeżdża. Postaramy się, żeby pobyt na zamku był udany.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, Newman - rzekł markiz. - Tak się składa, że mam ze sobą nieoczekiwanego gościa.

- Gościa? - zdziwił się kamerdyner widząc, że wzrok markiza skierowany jest na podłogę powozu. - Czy miał pan jakąś niemiłą przygodę, milordzie?

- Chłopi ze Steeple uznali tę dziewczynę za czarownicę! - wyjaśnił markiz. - Uratowałem ją przed próbą topienia.

Mówił to lekkim tonem, lecz twarz kamerdynera stężała.

- Czy wasza lordowska mość sądzi, że ona żyje? - zapytał.

- Nie jestem pewien - rzekł markiz. - Wnieśmy ją do domu, a tam się okaże, czy warto posyłać po doktora.

Kamerdyner dał znak ręką i dwóch lokajów zbliżyło się do powozu. Spojrzeli na czarownicę, a potem instynktownie cofnęli się o krok.

- Podnieście ją! - rozkazał markiz. Nikt się nie ruszył.

- Boicie się? - zapytał markiz ze słabym uśmiechem.

- Tak, milordzie - odparł jeden z lokajów. - Nie śmiem dotknąć czarownicy.

- A ty? - zwrócił się do drugiego.

- Na moją matkę czarownica rzuciła urok. Już nigdy nie była taka jak przedtem.

- Ale ona nie może tutaj zostać - rzekł markiz. Z rozbawionym wyrazem twarzy pochylił się i wziął dziewczynę na rękę. Wiedział, że ubrudzi sobie ubranie, musiał jednak przerażonej służbie dać dobry przykład. Trzymając dziewczynę w objęciach, wszedł po schodach do holu czując na sobie spojrzenia lokajów. - Gdzie ją umieścimy, Newman? - zapytał kamerdynera.

- W części domu zajmowanej przez służbę jest wiele wolnych pokoi - odrzekł Newman z wahaniem - ale...

Markiz zrozumiał, że ulokowanie dziewczyny pośród służby doprowadziłoby do wybuchu paniki. Po raz pierwszy

przyszło mu na myśl, że zbyt pochopnie zdecydował się na zabranie jej do zamku. Roztropniej było nie mieszać się do sprawy i pozwolić chłopom działać po swojemu. Ale ich zabobonny strach i podejrzliwość wobec rzekomej czarownicy były po prostu śmieszne, niegodne mieszkańców cywilizowanego kraju. Jak mogli być tak przesadni, że uwierzyli w kontakty dziewczyny z szatanem? I czemu tak bardzo bali się czarów? Nagle markizowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Czy niania nadal tutaj mieszka? - zapytał.

- Tak, milordzie.

- A zatem mamy problem rozwiązany - rzekł markiz i począł wchodzić na schody.

Dobrze, że dziewczyna nie ważyła wiele, bo musiał wspiąć się na trzecie piętro, gdzie znajdowały się pokoje dziecinne. - Nic się tutaj nie zmieniło - pomyślał. - Te same niskie stropy, te same obrazy na ścianach. Gdy Newman pośpieszył, żeby otworzyć mu drzwi, markiz poczuł, jakby znów wrócił do czasów dzieciństwa. Pośrodku pokoju stał stół, pod oknem stary koń na biegunach i inne zabawki, tak jak je pozostawił. A w niskim fotelu z robótką w ręce siedziała stara niania. Postarzała się nieco i posiwiiała, lecz kiedy wstała na jego widok markiz przekonał się, że pozostała taka, jaką ją zapamiętał.

- Panicz Oswin! - zawołała. - Jego lordowska mość przyjechał!

- Nie spodziewałaś się mnie ujrzyć, nianiu? - zapytał markiz.

- I tak, i nie - odrzekła. - Nie sądziłam, że pan znajdzie czas dla mnie.

- Jak mógłbym nie mieć dla ciebie czasu, nianiu - rzekł markiz. - Przyniosłem ci kogoś, kto potrzebuje twojej pomocy i opieki.

Stara kobieta zbliżyła się ku niemu i ze zdumieniem spojrzała na kobietę spoczywającą w jego objęciach.

- Kim ona jest? Co jej się stało?

- Powiedziano mi, że to czarownica! - wyjaśnił markiz. - Ale ona znajduje się w takim stanie, że nie może odeprzeć tych oskarżeń.

- Czarownica? - wybuchnęła niania. - Cóż za nonsens! Kto waszej lordowskiej mości naopowiadał takich bzdur?

Słuchając słów niani, markiz uśmiechnął się.

- Właśnie to chciałem od ciebie usłyszeć - rzekł. - Newman uważa, że nie można jej umieścić na piętrze zajmowanym przez służbę, więc może ty byś się nią zajęła.

- Oczywiście, zaopiekuję się nią - powiedziała niania. - Tylko proszę jej nie kłaść na czystym łóżku w tym stanie. Proszę ją jeszcze chwilę potrzymać, znajdę coś, żeby podścielić. - Wyjęła z szafy stare prześcieradło i rozścieliła na łóżku. - Może ją pan położyć, milordzie - rzekła. Teraz niczego nie ubrudzi.

Markiz zrobił, co mu kazała niania, i wtedy spostrzegł, że dziewczyna się nie porusza. Już w powozie wyglądała jak martwa. Stara kobieta, jakby myśląc o tym samym, poszukała palcami puls na ręce dziewczyny.

Może to i dobrze się stało - przyszło markizowi na myśl - że gdy chłopci ją znaleźli była nieprzytomna!

Zadrapania na ramionach dziewczyny były bardzo głębokie. Obejrzał jeszcze raz ranę na głowie. Powstała zapewne od mocnego uderzenia, które zadano, aby spowodować śmierć. Czy stary wieśniak mówił prawdę, że nie zrobili tego chłopci? Markiz był skłonny mu wierzyć, ponieważ nie mieli zwyczaju w ten sposób rozprawiać się z czarownicami. Bardziej odpowiadała im próba topienia. Mogli przy okazji poszukać dodatkowego sutka, którym według ich wierzeń czarownice karmiły swoich diabelskich kochanków.

Pewnym rodzajem rozrywki było też klucie czarownicy igłą dla sprawdzenia, czy krwawi. Wierzono również, że gdy szatan zawiera z czarownicą pakt, zostawia na jej ciele ślad świadczący o jego potędze. Jeśli takie znamię nakłuje się, a ono nie krwawi, co zdarza się w przypadku brodawek, stanowi to niezbity dowód, że kobieta jest czarownicą.

W Szkocji pokazywano mu igły do badania czarownic. Były bardzo ostre, często oprawione w uchwyt, w którym bez trudu można je było schować. Widzowie mieli wrażenie, że kobieta jest winna, ponieważ nie krwawi, a tymczasem igła ledwo dotykała jej ciała. Złapano raz w Szkocji oszusta podającego się za specjalistę od badania czarownic. Zanim go powieszono wyznał, że przyczynił się do śmierci dwustu kobiet, biorąc za każdą po dwadzieścia szylingów.

W XVII i XVIII wieku stosowano okrutne barbarzyńskie tortury. Zgniatano pałce, wieszano, przypalano ogniem i konstruowano specjalne łoża tortur do wyłamywania kości ze stawów. Markiz pomyślał, że ludzie obecnie wierzący w czary są nie mniej okrutni niż ci sprzed wieków. Chłopów ze Steeple przepełniały strach i nienawiść. Markiz był przekonany, że gdyby nawet czarownica utonęła podczas przeprowadzanych prób, nie przyjęliby do wiadomości, że to oni zadali jej śmierć.

- Pogańskie obyczaje nie giną łatwo! - powiedział do siebie.

- Ona żyje, milordzie! - odezwała się niania. - Lecz jej życie wisi na włosku!

- Zrób dla niej wszystko co możliwe, nianiu.

- Ma się rozumieć, milordzie! I proszę nie słuchać tych nonsensów o czarach. W naszych stronach zawsze panowały zabobon i ciemnota!

- Już mi to mówiłaś, nianiu, kiedy byłem chłopcem - uśmiechnął się markiz.

- Ludzie się nie zmieniają - rzekła. - Oni tylko robią się starsi!

- Masz racje, nianiu - odpowiedział markiz wychodząc.

Rozdział 3

Proszę mi opowiedzieć o miejscowych sprawach i niepokojach - rzekł markiz do zarządcy majątku,

Roger Clarke niedawno objął zarząd majątku po swoim ojcu, który pełnił tę funkcję przez trzydzieści lat. Był to dwudziestosiedmioletni mężczyzna, oddany pracy całą duszą i cieszący się dobrą opinią pana Grahama.

- Gdy tylko zmarł lord Harold Trydell, zaczęły się kłopoty.

- Dlaczego?

Markiz zajął wyściełany aksamitem fotel przy wielkim biurku, gdzie, jak pamiętał, siadywał jego ojciec. Jeszcze za czasów dziadka utarł się obyczaj przyjmowania właśnie w bibliotece pracowników, dzierżawców i okolicznych gospodarzy, którzy przychodzili ze swoimi sprawami. Na tle szaf wypełnionych książkami, znakomitych obrazów zawieszonych na ścianach, pod sufitem ozdobionym kunsztownymi malowidłami, markiz wyglądał niezwykle dostojnie.

Roger Clarke nie mógł ukryć podziwu przypatrując się eleganckiemu ubiorowi markiza, obcisłym pantalonom i nieskazitelnie białym pończochom. Widząc to, markiz odezwał się do zarządcy:

- Muszę pana pochwalić, Rogerze, za znakomite sprawozdania, które mi pokazywał pan Graham.

- Miło mi to słyszeć - powiedział czerwieniąc się Roger Clarke.

- A teraz proszę opowiedzieć, co takiego zrobił lord Caspar, że z tego wynikły kłopoty.

- Zmniejszył pracownikom wynagrodzenia, to po pierwsze, a poza tym zwolnił starych służących nie dając im odpowiedniego zabezpieczenia. Tym ludziom groziła śmierć głodowa, gdyby nie zajęła się nimi parafia.

- Czemu on to zrobił? - zapytał markiz. - Zawsze uważałem lorda Harolda Trydella, jego ojca, za bogatego człowieka.

- My też tak myśleliśmy, milordzie, ale lord Caspar potrzebuje masę pieniędzy albo na spłatę zaciągniętych długów, albo na hulanki w Londynie. Jego zupełnie nie interesuje wieś ani jej sprawy.

- Skąd ta pewność? - zapytał markiz.

- Bardzo rzadko przyjeżdża do majątku, całymi latami go nie ma - wyjaśnił Roger Clarke. - Miejscowi ludzie powiadali, że lord Harold, kiedy jeszcze żył, nie mógł się doprosić powrotu syna.

Potwierdzało to opinię, jaką markiz wyrobił sobie o Casparze Trydellu, chociaż zdawał sobie sprawę, że pracownicy często skarżą się na swych chlebodawców. Zastanawiał się, czy stary lord Harold z braku sił nie zaczął zaniedbywać majątku.

- A jak jest prowadzony majątek? - zapytał markiz.

- Dobrze, milordzie. Ostatni zarządca był człowiekiem znającym się na rzeczy i lord Harold cenił go za to. Lecz jego syn, lord Caspar, zwolnił go z obowiązków, ponieważ, jego zdaniem, majątek nie dawał odpowiednich dochodów.

- Czy miał rację?

- Oczywiście, że nie. W ubiegłym roku plony wszędzie były słabe i dlatego dochody też musiały być niższe. Wichury i ulewy na wiosnę zniszczyły zasiewy, zmniejszyła się również liczba dzikiego ptactwa.

- Kiedy podjeżdżałem do zamku widziałem stadko kuropatw - rzekł markiz.

- Jeśli taka pogoda utrzyma się, będzie sporo młodych - zauważył Roger Clarke z entuzjazmem w głosie.

- Lubi pan polować?

- Bardzo. Już wiele razy miałem nadzieję, że wasza lordowska mość przyjedzie do nas na jesieni w sezonie łowieckim.

- Pomyślę o tym we wrześniu - odrzekł markiz.

Przypomniał sobie, ile radości sprawiały mu myśliwskie wycieczki z Johnem Trydellem. Markiz miał wówczas dziesięć lat, więc John znalazł dla niego małą strzelbę i wytłumaczył, jak się z nią bezpiecznie obchodzić. Do tej pory pamiętał podniecenie po ustrzeleniu pierwszego w życiu zająca. Potem przyszła kolej na pierwszą kuropatwę, bekasa i dziką kaczkę zestrzeloną o świcie w promieniach wschodzącego słońca. Już nigdy nie przeżywał takich emocji jak wówczas, gdy czekał po strzale, czy ptak spadnie na ziemię.

- Z pewnością przyjadę tu we wrześniu lub październiku - powiedział głośno.

- Będziemy z niecierpliwością oczekiwać przybycia jego lordowskiej mości - odezwał się Clarke.

- Dziś po południu zamierzam objechać majątek - rzekł markiz. - Chciałbym odwiedzić gospodarstwo w Weatherwick. Czy mamy tam dobrego dzierżawcę?

- Znakomitego, milordzie.

- Może byśmy zdążyli odwiedzić inne farmy.

- Powiada pan, my, milordzie?

- Tak, bo mam nadzieję, że będzie mi pan towarzyszył, Clarke - odrzekł markiz. - I przy okazji opowie o sposobie gospodarowania majątkiem.

- Z przyjemnością, milordzie.

Markiz wstał dając do zrozumienia, że rozmowa skończona, lecz Roger Clarke zawahał się przed wyjściem.

- Czy coś jeszcze? - zapytał markiz.

- Proszę nie brać tego za impertynencję lub wtrącanie się, ale ludzie opowiadają o tym, jak uratował pan czarownicę, którą chłopci ze Steeple chcieli utopić w stawie.

- Domyślałem się, że będzie to dla nich temat do rozmów - rzekł markiz ze słabym uśmiechem.

- Ciekaw jestem, czy wasza lordowska mość wie, kim jest ta kobieta?

- Nie mam pojęcia! - odrzekł markiz. - Ona była nieprzytomna. Ktoś, i tego chcę się właśnie dowiedzieć, uderzył ją w głowę tak mocno, że cudem przeżyła.

- Czy nie sądzi pan, że mógł to zrobić któryś z wieśniaków, milordzie?

- Nie wydaje mi się - odrzekł markiz. - Gdyby była martwa zepsułoby im to zabawę z topieniem! Przepelniała ich nienawiść, ale nie do tego stopnia, żeby zabijać własnoręcznie!

- Ma pan rację, to prości ludzie, zabobonni jak wszyscy w Essex - rzekł Roger Clarke, a potem dodał: - Tu wszyscy jeszcze pamiętają proces w Chelmsford, podczas którego oskarżono Elizabeth Francis o czary.

- O co tam właściwie chodziło, bo nie pamiętam szczegółów? - zapytał markiz.

- O rzucenie uroku na dziecko. Elizabeth Francis nauczyła się czarów od swojej babki. Wyrzekła się Boga i twierdziła, że w czarach pomaga jej biały kot o imieniu Szatan.

Markiz patrzył sceptycznie na Rogera Clarke'a, a ten kontynuował:

- Ten kot przemawiający ludzkim głosem obiecał jej bogactwo i zdobycie męża. Swoją moc diabelską udowodnił zabijając mężczyznę, który wzgardził wdziękami czarownicy.

- I sąd dał wiarę tym opowieściom? - zainteresował się markiz.

- To właśnie przy pomocy tego kota uśmierciła dziecko.

- Dobry Boże! - zawołał markiz.

- Ale to jeszcze nie wszystko. Ten kot, Szatan, robił jeszcze inne bezceństwa.

- Działo się to jednak dawno, dawno temu - zauważył markiz.

- Dla tych chłopów, to jakby było wczoraj! Oni wciąż szepczą między sobą o niejakej Elizabeth Bennett, która przyznała, że znajduje się we władzy dwóch diabłów usiłujących wepchnąć ją do pieca.

Markiz roześmiał się.

- Że też oni wierzą w takie nonsensy!

- Wierzą, milordzie. Jeśli krowa zachoruje, to na pewno z powodu czyjegoś złego spojrzenia lub bezpośredniej interwencji szatana. Jestem pewien, że nadal robią figurki z gliny przypominające osobę, której chcą zaszkodzić, i kłują ją szpilkami w celu spowodowania choroby lub śmierci.

- Myślę, że w ciągu ostatnich dwustu lat nauczyliśmy ludzi trochę rozumu.

- Wątpię, milordzie - odpowiedział Roger Clarke. - A już na pewno nie w Essex. Mieszkamy zbyt blisko Krainy Czarownic.

- Krainy Czarownic? - powtórzył markiz rozbawionym tonem.

- Tak nazywają część Essex oddzieloną od nas rzeką Crouch.

- Nie miałem o tym pojęcia - powiedział markiz.

- Wszyscy mieszkańcy tego regionu, niezależnie od pozycji społecznej, mają obsesję na punkcie czarowników i czarownic - wyjaśnił Roger Clarke. - Pełno wszędzie duchów, a szatan odgania pastora od kazalnicy.

Markiz uniósł w górę brwi.

- Oczywiście, zdarzają się też ludzie zajmujący się tak zwaną białą magią, umiejący leczyć kurzajki, odnajdywać

zagubione bądź ukradzione przedmioty czy też odczyniać złe uroki.

- Miło mi to słyszeć - zauważył markiz chłodnym tonem.

- Mojemu ojcu ofiarowano raz „cudowny” kamień chroniący przed urokami rzucanymi przez czarownice - kontynuował Roger Clarke. - Mogę go pożyczyć jego lordowskiej mości.

Markiz w pierwszej chwili poczuł gniew, a w końcu uśmiechnął się.

- Jakoś sobie poradzę! - powiedział. - A co, zdaniem miejscowych, powinno mnie spotkać za to, że uratowałem czarownicę przed utonięciem w stawie?

- Oni oczekują śmierci waszej lordowskiej mości lub rozpadnięcia się zamku w gruzy.

Markiz znów się uśmiechnął.

- Ta rzekoma wiedźma, to osiemnastoletnie dziewczę - rzekł. - A przy tym jest osobą dobrze urodzoną. Sytuacja przedstawia się tak: ktoś pragnął jej śmierci i wpadł na diabelski pomysł. Mam nadzieję wykryć, kto to był.

Roger Clarke patrzył na niego zdumiony.

- Sądzi pan, milordzie, że ktoś umyślnie próbował ją zabić?

- Jestem tego pewien! - rzekł markiz. - Niania powiedziała, że gdyby dziewczyna nie miała we włosach mocnych metalowych szpilek, uderzenie w głowę, jakie otrzymała, byłoby śmiertelne. - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - Dwie szpilki wbiły się pod skórę, lecz to one właśnie uratowały jej życie.

- Nic z tego nie rozumiem, milordzie - rzekł Roger Clarke. - Znam tu wszystkich dokoła i nie przypominam sobie żadnej młodej dziewczyny, która odpowiadałaby pańskiemu opisowi.

- Czy jest pan tego pewien?

- W zupełności. Mieszkam tu od urodzenia. Tu każda nowa twarz wywołuje sensację. - Uśmiechnął się i dodał: - Ludzie mówią, że ta wiedźma zaczarowała waszą lordowską mość.

Jednak markiz myślał o czymś innym, bo po chwili odezwał się:

- Tylko bardzo silny człowiek mógł uderzyć tak mocno pozostawiając na głowie dziewczyny głęboką ranę. A ukręcenie głowy kogutowi z pewnością przekraczałoby siły tej delikatnej osoby.

- Lecz czemu ktoś miały nastawać na jej życie? - zapytał Roger Clarke. - A potem zostawić ją na druidycznych kamieniach? Gdyby to zrobił ktoś miejscowy, musiałby się liczyć z wywołaniem podejrzania wśród chłopów, że dziewczyna jest czarownicą.

- Sądzę, że to było rozmyślne działanie - zauważył markiz. - Przeszedł przez pokój i stanął przy oknie wpatrując się w ogród, a po chwili dodał: - Proszę się dowiedzieć, czy poprzedniej nocy, zanim znaleziono dziewczynę, nie działo się coś podejrzanego w wiosce Steeple lub w okolicy. - Przerwał na chwilę, a potem dokończył: - Czy nie sądzi pan, że przemytnicy mogli wylądować w zatoczce tej właśnie nocy?

- Jest oczywiście taka możliwość, milordzie, ale zatoczka znajduje się w sporej odległości od kamiennego kręgu druidów. Żaden z przemytników nie narażałby się przenosząc dziewczynę w to miejsce.

- Chyba że chciał odwrócić od siebie podejrzenie o zbrodnię. - Markiz zastanowił się, po czym powiedział: - Gdyby nie przypadek, że właśnie przejeżdżałem przez Steeple, kiedy chłopci wlekli tę nieszczęśnicę do stawu, utonąłaby w nim i nikt by się o niej nie dowiedział.

- To prawda, milordzie - zgodził się Roger Clarke. - Potem pochowano by ją na rozstajach dróg z głową

skierowaną na północ albo wrzucono do morza, co już się nieraz zdarzało.

- Wrzucano do morza? - zainteresował się markiz.

- Może to tylko plotki, ale podobno podczas lokalnych bójek pomiędzy feudałami, pokonanego znajdowano na plaży i nie sposób było dociec, czy się utopił, czy też ktoś przyczynił się do jego śmierci.

- Zatem rzeka lub morze są bardzo wygodnymi miejscami do załatwiania porachunków! - stwierdził markiz oschłym tonem.

- W istocie!

- Niech pan będzie tak dobry, Clarke, i popyta w okolicy - przypomniał markiz. - A dziś spotkamy się przed domem o czwartej. Proszę dopilnować, żeby przygotowano dla mnie ogiera.

- Przekażę pańskie rozkazy, milordzie.

Roger Clarke ukłonił się i opuścił bibliotekę, a markiz z ponurym wyrazem twarzy stał wciąż nieruchomo, wpatrując się w kwitnący za oknem ogród. Nagle wyszedł z komnaty i skierował się do pokojów dzieciennych. Już dwa dni minęły od uratowania rzekomej czarownicy z rąk wieśniaków. Zdawał sobie sprawę, że jej przebywanie w zamku wywoływało wielką konsternację wśród służby. Zarządzająca domem doniosła mu o ataku hysterii dwóch młodych pokojówek, a lokaje obsługujący go podczas posiłków patrzyli na niego podejrzliwie, jakby się spodziewali, że od dotknięcia czarownicy wyrosną mu rogi i kopyta.

Wszedł do pokoju i ujrzał nianię przygotowującą coś przy stole. Odniósł wrażenie, że wygląda młodziej niż wtedy, gdy ją zobaczył tuż po powrocie. Miała teraz zajęcie i to ją odmłodziło.

Musiało jej być przykro - pomyślał - siedzieć beczynn timerami latami w pustym pokoju.

- Miałam nadzieję, że pan przyjdzie, milordzie - powiedziała, - Chciałam panu coś pokazać.

- Czy nasza pacjentka odzyskała przytomność?

- Nie, ale oddycha równo i przespala spokojnie noc. Pewnie niedługo się obudzi.

- Chyba powinnaś się zgodzić, żebym posłał po lekarza.

- A po co? - zdziwiła się niania. - Nie miałabym do niego zaufania nawet w przypadku złamanego palca, a co dopiero mówić o uszkodzeniu mózgu.

Ton jej głosu rozbawił markiza. Znał niechęć niani do doktorów. Przypomniał sobie, że kiedy był chłopcem i chorował, nigdy nie pozwalała sprowadzić lekarza. Spojrzał na stół i dostrzegł na nim rozmaite zioła, z których niania sporządzała swoje znakomite lekarstwa.

- Wiesz, nianiu - powiedział żartobliwie - wcale bym się nie zdziwił, gdyby ciebie jako czarownicę chciano topić w stawie. Gdyby nie to, że mieszkasz w zamku, już dawno by cię to spotkało!

- Pewnie tak! - odrzekła niania. - Ci ludzie to ignoranci i półgłówki. Wierzą, że jeśli ktoś potrafi leczyć naturalnymi metodami, to koniecznie musi mieć kontakt z diabłem.

- A cóż za lekarstwo przygotowujesz dla tej biednej dziewczyny? - zapytał markiz.

- Na pewno jej pomoże - odrzekła niania. - A lekarstwo jest moją tajemnicą.

Markiz uśmiechnął się.

- Chciałam panu coś pokazać. Odłożyła nóż, którym kroila zioła i podeszła do komódki stojącej w rogu pokoju. Z górnej szuflady wyjęła chusteczkę i podała ją markizowi. - Znalazłam to w kieszeni sukni. Uprałam i uprasowałam. Na tej chusteczce wyhaftowano chyba jej imię.

Markiz z uwagą przypatrywał się chusteczce zrobionej z cienkiego muślinu i ozdobionej koronką. W rogu wyhaftowano imię.

- Idylla! - przeczytał na głos. - To imię pochodzące z greckiego oznacza doskonałość. Nasz gość ma wysokie o sobie mniemanie.

- To przecież nie ona, lecz rodzice wybrali dla niej imię - rzekła niania.

- Masz rację, nianiu - zgodził się markiz.

Zastanawiał się, czy znajomość imienia dopomoże Rogerowi Clarke'owi w jego poszukiwaniach. Przecież w tej części kraju nie mogło być wiele kobiet o tak rzadkim imieniu. Gdy wpatrywał się w chusteczkę, niania tymczasem zajrzała do sąsiedniego pokoju i po chwili zawołała:

- Milordzie, proszę przyjść tutaj!

Ton jej głosu był nagły, więc szybko wszedł do środka. Zasłony w pomieszczeniu były do połowy zasunięte dla ochrony przed słońcem, lecz bez trudu można było dostrzec drobną postać leżącą na wąskim łóżku. Dziewczyna miała ciemne jedwabiste włosy, a jej twarz mimo zadrapań zdawała się należeć do jakiejś nieziemskiej istoty. Wczoraj, podczas porannego mycia, wyglądała na bardzo słabą, a jej życie zdawało się wisieć na włosku. Teraz kiedy się do niej zbliżył, spostrzegł, że Idylla, jeśli takie nosiła imię, miała szeroko otwarte oczy. Nie wiedzieć czemu spodziewał się u niej oczu zielonych, gdy tymczasem były błękitne. W połączeniu z ciemnymi włosami tworzyły niezwykle rzadką kombinację.

- Obudziła się pani! - powiedziała niania ciepłym głosem.

- Proszę się niczego nie obawiać. A może by się pani czegoś napiła?

Odwróciła się w stronę stolika stojącego przy łóżku, na którym stał jeden z jej eliksirów. Markiz przypomniał sobie

słodki smak tych napojów przyrządzanych z dodatkiem miodu. Jako dziecko wypijał wszystko, co kazała.

Oczy Idylli nadal były nieruchome i markiz odniósł wrażenie, że dziewczyna nic nie widzi oprócz światła wpadającego przez okno. Niania uniosła jej głowę i przysunęła do ust filiżankę.

Z ust dziewczyny wydobył się cichy jęk. Wypiła kilka łyków, po czym niania ułożyła ją na poduszce.

- Niech pani teraz spróbuje zasnąć - powiedziała uspokajającym tonem.

Idylla posłuchała i zamknęła oczy ocienione długimi ciemnymi rzęsami. Zasypiała, więc markiz wycofał się z pokoju, a za nim podążyła niania.

- Widział pan, milordzie? Niepotrzebny tu żaden doktor. Dziewczyna wróci do zdrowia za kilka dni.

- Już ci powiedziałem, nianiu, że z ciebie stara czarownica. Miałem rację oddając ją pod twoją opiekę.

- Może pan na mnie polegać - rzekła niania. - Powiem coś panu, milordzie. Panna Idylla jest damą w każdym calu, nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości.

- Skąd to wiesz? - zainteresował się markiz.

- Nie tylko jej wygląd o tym świadczy, dłonie i stopy, lecz także ubranie!

- Ubranie? - zdziwił się markiz.

- Cała bielizna została uszyta przez kogoś, kto znał się na rzeczy. Wszystko jest pięknie wykończone i obszyte koronką wprawdzie niezbyt drogą, ale świetnie dobraną. Może mi pan wierzyć, znam się na tym i wiem co mówię!

- Wierzę ci, nianiu.

- A kiedy się pan dowie, kim jest panienka Idylla, może okazać się, że to jakaś przebrana księżniczka.

- Nie tylko znasz się na czarach, nianiu, ale jesteś w dodatku romantyczna! - powiedział ze śmiechem.

- A cóż w tym złego? - zapytała niania. - Tylko pan nie pozwala mi na rozwinięcie mojej romantycznej wyobraźni. Ileż to razy, gdy przychodził list z Londynu, myślałam że to powiadomienie o pańskich zaręczynach.

- Dobry Boże! - zawołał markiz. - A czemu ci tak zależy na moim ożenku?

- Ponieważ taka jest normalna kolej rzeczy, że człowiek zakłada rodzinę. Przekroczył pan trzydziestkę. W pańskim wieku można już mieć troje, a nawet czworo dzieci. A pan nie ma nikogo, komu mógłby przekazać nazwisko, a w moim pokoju kołyska wciąż stoi pusta!

Markiz znów się zaśmiał.

- Trudno, dla twojej przyjemności, nianiu, nie ożenię się z jakąś nudną panną, której będę miał dość po upływie miodowego miesiąca.

W jego głosie pobrzmiwała cyniczna nuta i niania spojrzała na niego z wyrzutem.

- Tak pan mówi, jakby pan nie miał wyboru - rzekła. - A my wiemy swoje.

- Co wiecie? - zapytał markiz.

- Przecież my się orientujemy, co tam się dzieje w Londynie - powiedziała porywczo niania. - Dokoła pana kręci się wiele kobiet. Jest pan nieodrodnym synem swojego ojca.

Markiz nie lubił, gdy wspomniano o przygodach miłosnych jego ojca, będących przedmiotem plotek, którymi karmiło się poprzednie pokolenie, podobnie jak obecne zajmowało się jego romansami. Jednak niania kochała go i szczerze życzyła mu szczęścia, nie tak jak inne kobiety, które wyłącznie myślały o sobie. Niania darzyła go prawdziwie macierzyńską miłością. Zastępowała mu matkę, która zmarła, gdy miał zaledwie trzy lata. Obsypywała go pieścizotami, ale też karała, jak było potrzeba. Była jego pierwszą nauczycielką

i gdy rósł zawsze pozostawała przy nim. Teraz patrzyła na niego badawczo.

- Stał się pan cyniczny - powiedziała. - ; Moim zdaniem, w pańskim życiu brak jest miłości!

- Wydaje mi się, że jest jej aż nadto - odrzekł szybko markiz.

- Ale nie takiej jak trzeba! Niania jak zwykle musiała mieć ostatnie słowo i markiz uśmiechnął się.

- Masz rację, nianiu, jak zawsze masz rację! - rzekł. - To nie są właściwe kobiety i dlatego przyjechałem do ciebie.

- To bardzo rozsądnie - powiedziała wyraźnie zadowolona niania. - Panu potrzebne jest jakieś poważne zajęcie, a nie te libacje w Londynie! Zbyt wiele picia, nie przespane noce, to wszystko źle wpływa na pańskie zdrowie. I pan sam dobrze o tym wie!

- Wiem o tym, nianiu - rzekł markiz.

- Tutaj, jeśli się pan dobrze rozejrzy, znajdzie pan wiele do roboty - dodała. - A przy okazji dowie się pan czegoś o pochodzeniu panienki Idylli. Bardzo nie lubię tajemniczych historii.

- Właśnie mam taki zamiar - powiedział markiz kierując się do wyjścia.

Ucieszyło go, że niania mówiła z szacunkiem o swojej pacjentce nazywając ją panienką Idyllą. Należało doprowadzić do tego, żeby reszta służby poszła za jej przykładem. Gdy znalazł się w holu powiedział do kamerdynera:

- Niania odkryła, jak ma na imię nasz gość.

- Więc jak się nazywa?

- Idylla. I powiedz proszę wszystkim w domu, że do młodej damy należy się zwracać - panno Idylo.

- Tak jest, milordzie. - Kamerdyner zawahał się, a po chwili dodał: - Muszę poinformować pana, że dwóch wiejskich chłopaków poprosiło właśnie o zwolnienie ze

służby, a pani Darwin mówiła, że jedna z pokojówek też chce odejść.

- Trzeba pozwolić im odejść i na ich miejsce zatrudnić osoby nie ulegające zabobonom - rzekł markiz i podnosząc głos, tak aby go usłyszał lokaj dyżurujący w holu dodał: - Niech cała służba wie, że jeśli ktokolwiek nie okaże szacunku mojemu gościowi, zostanie natychmiast oddalony. Czy mnie dobrze zrozumiałeś, Newmanie?

- Przekażę polecenia waszej lordowskiej mości zarówno pani Darwin, jak też pani Headley zarządzającej kuchnią.

- Proszę powiedzieć pani Headley, że przygotowane przez nią dania bardzo mi smakowały! Dawno nie jadłem tak doskonale przyrządzonego łososia jak ten, którego podano wczoraj na kolację.

- Pani Headley bardzo ucieszy się z tej pochwały, milordzie. Ona się zamartwiała, że nie będzie w stanie poprowadzić kuchni na takim poziomie, do jakiego pan przywykł w Londynie.

- Są to zupełnie inne sposoby gotowania i porównywać ich nie należy - oświadczył markiz. - Przekaż pani Headley, że jej kuchnia jest dla mnie bardzo miłą odmianą.

- Dziękuję za pochwałę, milordzie! Serdecznie dziękuję! - kamerdyner uklonił się z uszanowaniem.

Był już późny wieczór, kiedy markiz po przejechaniu wielu mil w towarzystwie Rogera Clarke'a, wrócił do zamku zmęczony, ale zadowolony. Od lat już nie doświadczał takiej radości z przejażdżki na doskonałym rumaku, pośród pięknego krajobrazu, z wiejącą w twarz morską bryzą i poczuciem nieograniczonej wolności. Wielką satysfakcję sprawiło mu też powitanie przez farmerów i ich żony. Byli zadowoleni z warunków dzierżawy i cieszyli się, że mogą mieszkać w jego majątku. Niektórzy znali jeszcze jego ojca i

choć miał on wiele wad, był dobrym administratorem dbającym o swoich ludzi.

- Gdyby tak cały kraj brał przykład ze sposobu, w jaki prowadzony jest pański majątek - powiedział do markiza Roger Clarke, gdy wracali do domu - nie byłoby żadnych problemów, protestów i gwałtów na prowincji, nie byłoby też wrzawy w parlamencie.

- Niestety, najczęstszą przyczyną wrzawy wybuchającej w parlamencie jest osoba księcia Walii - zauważył markiz.

- I nie bez racji - rzekł Roger Clarke. - Przepraszam, milordzie, że to mówię.

- Może pan wierzyć w to, co mówią o księciu - odparł markiz. Nie ma on w tej chwili nic lepszego do roboty, jak tracić czas na rozrywki, bo nie dopuszczają go do żadnej poważniejszej działalności.

Markiz przypomniał sobie, jak dwa lata temu księżę Walii miał nadzieję na mianowanie go przez króla gubernatorem Irlandii. Jego kandydaturę poparli sami Irlandczycy, lecz król się na to nie zgodził. Księżę tak mówił o tym wydarzeniu:

- Mój ojciec narzeka, że moje życie upływa na zabawach i ekstrawagancjach, ale gdybym spróbował czegoś innego, zostałbym potraktowany jak niegrzeczny chłopiec!

Markiz bardzo współczuł przyjacielowi. Po całym kraju szerzyły się plotki o jego romansach, wystawnych przyjęciach i wszyscy uważali go za człowieka niezdolnego do wykonywania poważniejszych zadań państwowych.

Wróciwszy do zamku markiz wykapał się, przebrał do kolacji i zszedł do wielkiej jadalni ozdobionej alegorycznymi freskami. Choć był sam, nie czuł się samotny. Po wycieczce odczuwał ogromny głód. Taki właśnie wysiłek fizyczny był mu potrzebny od dłuższego już czasu. Podobnej swobody i odprężenia, nie dawały konne galopady po londyńskich parkach. I choć należało jeszcze odwiedzić wiele farm, to, co

zrobił dzisiaj, dawało mu prawo do delektowania się doskonałymi potrawami, jakie przygotowała dla niego pani Headley.

Skończywszy posiłek postanowił przejść do biblioteki, aby poszukać książek o magii i czarownicach. Był pewien, że wzmianki o tych sprawach znajdzie w historii Essex. Przypomniawszy sobie, że gdzieś już czytał o słynnym czarnoksiężniku, doktorze Dee, zwanym też elżbietańskim Merlinem. Ten doktor Dee popadł w ogromne tarapaty za panowania katoliczki Marii, gdy na prośbę któregoś z dworzan opracował horoskop królowej. Natomiast stał się wielkim faworytem protestantki Elżbiety, kiedy ta wstąpiła na tron.

Może dzieje doktora Dee rzucają jakieś światło na problemy, które mnie interesują - pomyślał.

Był przekonany, że wiadomościami zdobytymi na temat czarów i magii potwierdzi swoje przypuszczenia o celowym pozostawieniu Idylli w kamiennym kręgu, zbudowanym niegdyś przez druidów dla celów kultowych. Właśnie zamierzał opuścić jadalnię, gdy kamerdyner zwrócił się do niego:

- Proszę wybaczyć, milordzie, ale niania prosiła o przekazanie panu, że panna Idylla odzyskała przytomność.

Markiz pomyślał, że sama Idylla może więcej powiedzieć na interesujący go temat niż jakakolwiek książka. Pobiegnął na górę i po chwili dotarł na trzecie piętro. Niania usłyszawszy odgłos otwieranych drzwi, wyszła z przylegającej do pokoju dziennego sypialni.

- Wreszcie się przebudziła! - powiedziała triumfalnie. - O nic jej nie pytałam. Pomyślałam, że wasza lordowska mość będzie chciał to zrobić osobiście.

- Oczywiście - odparł markiz. - Taki mam właśnie zamiar.

Wszedł do sypialni. Choć na dworze nie było jeszcze całkiem ciemno, przy łóżku Idylli paliły się świece,

wydobywające z mroku jej drobną twarzyczkę i wielkie niebieskie oczy, które barwą przypominały kwiat gencjany lub odcień południowego morza w słoneczny dzień. Ocienione długimi rzęsami robiły niezwykle wrażenie. W niczym nie przypominała czarownicy, jej wygląd przywodził na myśl nimfę wodną lub rusałkę. Markiz zbliżył się do łóżka i usiadł na ustawionym przy nim krześle. Idylla przypatrywała mu się uważnie. Nie wyglądała na przelęknioną.

- Cieszę się, że doszła już pani do siebie po tym niemiłym wypadku - odezwał się po chwili. - Jest pani całkiem bezpieczna w moim domu.

- Gdzie.... ja... jestem?

Mówiła z trudem, lecz głos brzmiał melodyjniej a wymowa świadczyła, że jest osobą wykształconą. Markiz słuchając jej głosu i przyglądając się rękom leżącym na kołdrze upewniał się o szlachetnym pochodzeniu dziewczyny.

- Jest pani na zamku Ridge - odrzekł.

- Na zamku... Ridge? - powtórzyła, jakby starając się przypomnieć sobie, czy coś jej ta nazwa mówi.

- Czy pani słyszała o nim? - zapytał markiz.

- Nie... wydaje... mi się.

- Zacznijmy więc od początku - zaproponował. - Wiemy, że ma pani na imię Idylla, bo jest ono wyszyte na chusteczce, którą niania znalazła w kieszeni sukni.

- Czy mogę... ją obejrzeć? Jakby oczekując tego pytania, niania podała jej chusteczkę. Idylla przysunęła ją do światła.

- Powiada pan... że to... moja? - zapytała po chwili.

- Nie rozpoznaje pani swojej chusteczki? zdziwił się.

- Nie.

- Lecz pani nazywa się Idylla?

Spojrzała na niego i po raz pierwszy ujrzał w jej oczach strach.

- Nie... wiem - odrzekła. - Nie... mogę... sobie przypomnieć... ani... kim jestem, ani niczego.

Markiz przypatrywał jej się szczerze zdumiony.

- Skąd pani wie o tym?

- Zastanawiałam się... nad tym... dziś rano... po przebudzeniu - odpowiedziała. - Ten pokój... wydał mi się... obcy... boli mnie... głowa, więc pomyślałam, że... musiał mi się... przydarzyć... jakiś... wypadek. Ale niczego... nie pamiętam.

- Nie przypomina pani sobie uderzenia w głowę? - zapytał.

- Nie.

- A może pamięta pani dom, w którym pani mieszkała?

- To dziwne... - odezwała się po chwili. - Kiedy usiłuję przypomnieć sobie... kim jestem... skąd pochodzę... widzę tylko ciemność. Tak jakby... jakaś czarna zasłona oddzielała dzień dzisiejszy od... wczorajszego.

W jej głosie wyczuwało się zmartwienie, więc markiz uśmiechnął się starając się ją pocieszyć.

- To pewnie z powodu uderzenia, jakiego pani doznała - powiedział. - Musiała pani upaść i uderzyć się. Jakkolwiek było, straciła pani przytomność i nie odzyskała jeszcze pamięci.

- Czy ona... powróci?

- Oczywiście! - zapewnił. - Utrata pamięci zdarza się w takich przypadkach. Mnie też się to przytrafiło, kiedy spadłem z konia podczas polowania. Przez całą dobę leżałem nieprzytomny, a nawet bredziłem.

- Czy ja... też bredziłam? - zapytała. - Nie przypominam sobie.

Mówiąc to spojrzała w stronę niani.

- Ależ nic podobnego - odrzekła niania. - Leżała pani cichutko jak myszka.

- Mówi pan, że... zamek nazywa się... Ridge powiedziała jak uczeń powtarzający lekcję.

- Tak - odparł markiz.

- A kim pan... jest?

- Jestem markiz Aldridge.

Spodziewał się, że może jego nazwisko wyda się jej znajome. Idylla przyglądała mu się uważnie, ale w jej wzroku nie było cienia podziwu czy admiracji, które obserwował w spojrzeniach innych kobiet.

- To bardzo uprzejmie z pana strony... że mnie pan przyjął. Nie chciałabym jednak... sprawiać kłopotu.

- Ależ nic podobnego - rzekł markiz. Powinna pani teraz zasnąć. Im lepiej pani wypocznie, tym szybciej powróci pamięć.

- Jest pan tego... pewien?

- Bez wątpienia! - odparł. Wówczas mi pani opowie o swoich bliskich, może o rodzicach. Oni na pewno bardzo się martwią pani zniknięciem.

- Jak to możliwe... że zniknęłam?

- Nie mam pojęcia - rzekł. - Nie tracę jednak nadziei, że wkrótce mi pani opowie, co się wydarzyło. Życzę szybkiego powrotu do zdrowia. Wówczas porozmawiamy, jak zraniła się pani w głowę. - Wstał i uśmiechnął się do niej jak do dziecka.

- Dobranoc, Idyllo. Proszę spać dobrze. Dobranoc, nianiu.

Uśmiechał się jeszcze schodząc na dół, przekonany, że wkrótce dowie się prawdy o dziwnym gościu. Jednego był pewien: Idylla nie była żadną czarownicą, lecz czarującą młodą kobietą!

Rozdział 4

Markiz wkładał właśnie przy pomocy służącego ubiór do konnej jazdy, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Wcześniej wybrał krawat i zawiązał go według najnowszej mody. Wkładając żakiet czuł, że jest on nieco za luźny. Jakby odgadując jego myśli, lokaj powiedział:

- Stracił pan trochę na wadze, milordzie. To pewnie dlatego, że więcej jeździ pan konno niż w Londynie.

- Masz rację, Harris, i mniej też piję.

- Dobrze to panu służy, milordzie. - Ponieważ markiz milczał, lokaj mówił dalej: - Większość rzeczy waszej lordowskiej mości trzeba będzie przerobić, gdy wrócimy do Londynu, bo nie będą leżały tak, jak pan Weston sobie życzy.

Weston był krawcem księcia Walii, u którego ubierali się wszyscy londyńscy eleganci. Markiz nagle przypomniał sobie o pukaniu do drzwi.

- Proszę wejść! - powiedział. Na progu stała niania.

- Czy mogę porozmawiać z waszą lordowską mością? - zapytała.

- Oczywiście, nianiu - odpowiedział, gdy lokaj taktownie opuścił pokój. - Jak się czuje dzisiaj nasza pacjentka?

- Dużo lepiej, milordzie, ale wciąż nie wraca jej pamięć. Martwi się z tego powodu, choć staram się wytłumaczyć, że to normalne w takim przypadku.

- I masz zupełną rację! - rzekł markiz. - Po takim uderzeniu niełatwo dojdź do siebie. Myślę, że gdyby nie twoje starania, nianiu, byłoby z nią dużo gorzej.

- Ja też tak myślę - odrzekła niania. - Ale ja przyszedłam do jego lordowskiej mości w zupełnie innej sprawie.

- W jakiej? - zapytał.

Gdy tak stał wysoki i przystojny, pomyślała, że trudno wprost wyobrazić sobie piękniejszego mężczyznę. Zawsze była dumna ze swojego „chłopca”, jak w myślach nazywała

markiza. Już jako dziecko był ładny, lecz nie sądziła, że wyrośnie z niego tak urodziwy mężczyzna.

- Co tam, nianiu? - zapytał.

- Pomyślałam sobie, milordzie, że panna Idylla potrzebuje dużo świeżego powietrza i przyszło mi do głowy, czy wasza lordowska mość pozwoliłby na zajęcie sypialni pani, bo tam jest balkon.

Markiz domyślił się, że niania mówi o jego babce, ponieważ, jak słyszał, jego matka nigdy nie odwiedziła zamku Ridge. Kiedy William Adam, ojciec Roberta i Jamesa Adamów, ukończył przebudowę zamku, przeprowadzili się do niego dziadkowie markiza, żeby nadzorować prace dekoratorskie w reprezentacyjnych pomieszczeniach i dobrać odpowiednie meble oraz obrazy. Dziadek musiał mieć wszystko urządzone zgodnie ze swoimi upodobaniami. On też zarządził zmiany w Aldridge Park, położonym w Oxfordshire, lecz tam mniej było pracy niż w Ridge Castle.

Ludzie uważali, że to niepotrzebna strata pieniędzy i zbędna ekstrawagancja, ale to się opłaciło, bo z czasem wzrosła wartość mebli i obrazów zakupionych przez dziadka. Jego żona, kobieta słabego zdrowia, nabawiła się w średnim wieku artretyzmu i musiała jeździć na wózku. Dlatego dziadek kazał dobudować do jednego z pomieszczeń pierwszego piętra duży balkon. Tutaj babka mogła siedzieć na słońcu i patrzeć na ogród, bez konieczności sprowadzania jej na dół. Od tamtego czasu pokoju nikt nie używał i niania miała świetny pomysł, żeby przeprowadzić do niego Idyllę.

- Masz rację, nianiu - powiedział na głos. - Że też ja na to nie wpadłem. Niech pani Darwin każe wysprzątać pokój, a gdy wszystko będzie gotowe, można tam przenieść pannę Idyllę.

- Dziękuję, milordzie - powiedziała niania, potem uśmiechnęła się i dodała: - Będzie jednak pewien problem, o którym pan zapomniał.

- Jaki? - zapytał i odwrócił się mając zamiar zejść na śniadanie, po którym wybierał się na konną przejażdżkę.

- Wątpię, żeby ktokolwiek ze służby chciał przenieść pannę Idyllę na dół - wyjaśniła niania. - Oni wciąż jej się boją i nie znajdzie się nikt, kto by się odważył dotknąć czarownicy!

Markiz uśmiechnął się.

- A więc to mnie czeka. Dobrze, nianiu, gdy tylko skończę przejażdżkę, przyjdę i zaniosę pannę Idyllę do jej nowego pokoju. Jeśli spadnę ze schodów lub przemienię się w ropuchę, to będzie dowód, że ona istotnie jest czarownicą.

- Dziękuję, milordzie - rzekła niania. - I jeszcze jedno.

- Co takiego? - zatrzymał się przed wyjściem z pokoju.

- Wasza lordowska mość pewnie nie pomyślał, że panna Idylla nie ma się w co ubrać. Sukienka jest podarta na strzępy i nie nadaje się do naprawy. Pożyczyłam jej wprawdzie nocną koszulę, ale to nie są rzeczy odpowiednie dla osoby, która mogłaby śmiało być moją wnuczką.

- Myślałem, że mam zmysł organizacyjny i wszystko przewidziałem, ale pomyliłem się - rzekł markiz.

- Czy zechce się pan zająć tą sprawą, milordzie?

- Oczywiście - odrzekł. - Czy możesz podać mi jej wymiary?

Niania wyjęła z kieszeni fartucha kartkę.

- Gdyby pan zechciał posłać kogoś do Chelmsford, to z pewnością udałoby się tam kupić jakieś gotowe sukienki, a także rzeczy, które tu spisałam.

- Możesz na mnie polegać, nianiu.

- Będzie pan wiedział, co trzeba zamówić? - zapytała.

W oczach markiza pojawiły się iskierki rozbawienia kiedy rzekł:

- Tobie się wydaje, nianiu, że ja nie wiem, czego potrzebują damy. A tymczasem jest zupełnie inaczej!

Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, już popędził na dół trzymając w ręce kartkę. Zamiast do jadalni, gdzie oczekiwał na niego kamerdyner z lokajami, markiz udał się do biblioteki. Usiadł przy biurku, przeczytał, co napisała niania, potem wziął kawałek papieru i zaczął się zastanawiać, jakie kolory najbardziej pasowałyby do urody Idylli. Miał duże doświadczenie, jeśli chodzi o wybór kobiecych strojów, nie tylko dlatego, że często płacił za nie rachunki.

Kiedy był jeszcze bardzo młody, miał kochankę, młodziutką utalentowaną tancerkę urodzoną w Rosji. Obdarzona urodą i wdziękiem była czarująca na scenie, lecz w życiu prywatnym nie odnosiła sukcesów, bo nie potrafiła się ubrać i wyglądała niepozornie. Dopiero markiz zaprowadził ją do najlepszych krawców i dzięki odpowiednim strojom uroda dziewczyny otrzymała właściwą oprawę. Tak bardzo zmienił się jej wygląd, że przyjaciele markiza, którzy wcześniej dziwili się jego wyborowi, teraz próbowali mu ją odbić. Nie udało im się, dopóki się nią nie znudził, lecz dziewczyna zyskała sławę nie tylko w balecie, ale także wśród dżentelmenów z ulicy św. Jakuba.

- Jak to się stało, że tylko ty dopatrzyłeś się w Talice zarówno urody, jak i talentu? - dopytywał się jeden z znajomych, polujący za nową Wenus.

- Cenne klejnoty wymagają odpowiedniej oprawy - odrzekł markiz.

Teraz pisał list do krawcowej, znanej nie tylko wśród dam z wielkiego świata, lecz dzięki swemu talentowi i wyobraźni szyjącej także dla teatru. W liście odmalował niezwykłą urodę Idylli, jej ciemne włosy i błękitne oczy, przedstawił też smukłą sylwetkę zamieszczając dokładne jej wymiary. Pani Valerie otrzymała więc wszystko, co było potrzebne do

uszczenia garderoby Idylli. Markiz dał też do zrozumienia, że posłaniec nie może wrócić z pustymi rękami, choć na wykonanie całości zamówienia dawał jej trochę czasu.

List był długi, lecz i bez tego pani Valerie spełniłaby dokładnie jego życzenia. Po zalakowaniu zaniósł list do holu i polecił lokajowi wysłać posłańca do Londynu. Załatwiwszy wszystko, udał się na śniadanie. Następnie pojechał na godzinną przejażdżkę, a później udał się na trzecie piętro zamku. Powitała go zdumiona niania.

- Już pan wrócił, milordzie? Nie spodziewałam się pana tak szybko.

- Zamierzam zjeść wczesny obiad - wyjaśnił. - Jeśli jednak panna Idylla nie jest jeszcze gotowa, poczekam.

- Pani Darwin powiedziała mi przed półgodziną, że pokój został otwarty i przewietrzony. Jak pan zapewne wie, wszystkie pomieszczenia stale są utrzymywane w porządku, na wypadek, gdyby wasza lordowska mość ich potrzebował.

- Chcesz mi zasugerować, że służba jest rozczarowana, bo rzadko bywam w zamku? - zapytał markiz.

- Ja też się tym martwiłam, lecz teraz nie ma to już znaczenia - rzekła niania. - Proszę chwilę poczekać, panna Idylla będzie zaraz gotowa.

Mówiąc to weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Markiz tymczasem przypatrywał się porcelanowym figurkom stojącym na kominku i wiszącemu nad nim swojemu portretowi. Namalowano go, gdy miał dwanaście lat. Pozował ze strzelbą na ramieniu i z psem spanielem leżącym u nóg. Portret wykonał londyński malarz, który tu spędzał wakacje. Markiz kupił go za niewielką kwotę, zamierzając ofiarować ojcu na gwiazdkę. Potem pomyślał, że ojciec nie doceni jego poświęcenia przy wielogodzinnym pozowaniu, a ponadto nie był pewien, czy pragnął mieć portret syna. Ofiarował więc

obrazek niani, która uradowana powiesiła go na honorowym miejscu.

Teraz patrząc na obraz, markiz przypomniał sobie naukę strzelania. Nieraz John Trydell nie mógł mu towarzyszyć, więc wybierał się na polowanie sam, zabierając tylko psa, i wielka była radość, gdy przynosił w torbie myśliwskiej dwie lub trzy sztuki zwierzyny świadczące o celności jego strzałów. Później zdarzały mu się większe sukcesy myśliwskie, lecz nic nie mogło równać się z przyjemnością polowania w tych stronach zimą i nawet gdy nic nie ustrzelił, czuł się zadowolony.

- Jesteśmy gotowe, milordzie - usłyszał głos niani i wszedł do sypialni.

Idylla leżała na łóżku owinięta białym kocem niczym w kokonie. Markiz domyślił się, że to nie tylko z powodu ochrony przed zimnem, lecz i dla zachowania przyzwoitości. Spojrzał na drobną twarzyczkę wyglądającą znad koca i dostrzegł błękitną wstążkę, pasującą do koloru oczu, którą niania wpięła jej we włosy.

- Dzień dobry, Idyllo - powiedział.

- Dzień dobry, milordzie - odrzekła zawstydzona.

- Nie musi się pani bać znoszenia na dół - pocieszał ją. - Będę schodził bardzo powoli. Na pewno spodoba się pani nowy pokój. Jest wygodniejszy niż ten.

Wziął Idyllę na ręce jak dziecko, przypominając ją sobie zakrwawioną i zabłoconą po wyrwaniu z rąk wieśniaków. Teraz zadrapania na twarzy były ledwie widoczne i należało się spodziewać, że po kilku dniach zagoją się zupełnie. Schodząc wąskich schodach pomyślał, że drugi raz trzyma kobietę w objęciach, lecz nie ma to nic wspólnego z pożądaniem. Leżała cicho w jego ramionach onieśmielona bliskością mężczyzny.

Jest jeszcze bardzo młodziutka - pomyślał. Zastanawiał się, czy jakiś młody człowiek prawil jej już komplementy i opowiadał, jaka jest piękna. Raczej nie, ponieważ w tych odległych okolicach nie było zbyt wielu młodych mężczyzn, a być może przebywała w klasztorze. Jednak kobiety o takiej urodzie nie można nie zauważyć. Coraz bardziej ciekawiła go jej przeszłość. Kim była? Skąd pochodziła? Jak się nazywała? I dlaczego ktoś czyhał na życie tak niezwyklej istoty?

Znaleźli się na pierwszym piętrze i szerokim korytarzem zmięrzali w stronę paradnych pokojów, z których jeden zajmowała niegdyś babka markiza. Architekt Adam zaprojektował go w stylu klasycznym, ozdabiając białe ściany złotymi liśćmi, a baldachim nad łóżem wspierając na złożonych kolumnach. Spływały z niego zasłony z błękitnego jedwabiu, całości zaś dopełniał wspaniały dywan z Aubusson.

Komnata była widna, miała wiele okien i balkon, na który wychodziło się przez drzwi umieszczone w pobliżu łóża. Markiz delikatnie położył na nim Idyllę. Z tego miejsca widoczne były wielkie wazony z kwitnącymi azaliami ustawione na balkonie. Ponad marmurową balustradą rozciągało się błękitne niebo, a poniżej skwer z fontanną i stawem pokrytym liliami wodnymi. Niania podeszła do łóża.

- Czy wasza lordowska mość byłby tak dobry i wyszedł na chwilę na balkon - rzekła. - A ja w tym czasie położę pannę Idyllę do pościeli.

Markiz posłusznie wyszedł z pokoju. Zauważył, że na balkonie ustawiono wyplatany fotel z podnóżkiem. Nad fotelem znajdował się daszek chroniący przed promieniami słońca. Nie znał swojej babki, ponieważ umarła przed jego urodzeniem. W bibliotece znajdowały się napisane przez nią pamiętniki. Kiedy Idylla wyzdrowieje może zechce je przeczytać. Przyszło mu też na myśl, że ludzie byliby

zdziwieni umieszczeniem w najwspanialszym pokoju zamku dziewczyny, o której pochodzeniu nic nie wiedział.

- Może pan już wrócić, milordzie.

Markiz ujrzał teraz Idyllę siedzącą na wysokim łożu. Miała na sobie nocną koszulę wysoko zapiętą pod szyją, z długimi rękawami niemal zakrywającymi dłonie.

To już pomysł niani, nie mój - pomyślał.

Nawet w takim stroju Idylla wyglądała ładnie. Patrzyła na niego zakłopotana.

- Czy pani wygodnie? - zapytał z troską.

- Dziękuję, że... pan mnie tu przeniósł - rzekła. - Ale ta komnata... jest zbyt wytworna.

- Zbyt wytworna? - powtórzył markiz.

- Nie wie pan nawet, kim jestem. Nie powinnam zajmować tak wspaniałego pokoju.

- Niania potwierdzi, że w tym pokoju nikt nie mieszkał od czasu śmierci mojej babki. Tutaj może pani wyjść na balkon i patrzeć na ogród do czasu kiedy będzie pani mogła zejść tam sama.

- A kiedy to się stanie?

- Wkrótce. Jestem tego pewien. - A może... ja nigdy nie przypomnę sobie... kim jestem?

- Przypomni pani sobie z pewnością - pocieszał ją markiz.

- Utrata pamięci to dziwny stan, po którym pamięć powraca nagle. To tak, jak odsunąć żaluzje i wyrzeć na świat.

Ktoś zapukał do drzwi, niania wyszła i zostawiła ich samych.

- Chciałabym... pana... o coś zapytać.

- Cóż to takiego?

Zdawało się, że ma trudności ze znalezieniem odpowiednich słów. Chcąc jej dodać odwagi markiz usiadł na brzegu łożka.

- Proszę się nie krępować - powiedział uśmiechając się, ale jej oczy pozostały zatroskane.

Te oczy mają zmienną barwę morza - pomyślał. - Raz są jak błękitne niebo, a innym razem jak zachmurzone.

- No, proszę mówić - zachęcał.

- Czy pan wierzy, że... jestem czarownicą? - wyszeptała.

- Więc niania powiedziała pani, co się wydarzyło?

- Myślała, że... to mi pomoże... przypomnieć sobie wszystko.

- Proszę mi wierzyć, jestem absolutnie przekonany, że nie jest pani czarownicą. Czy może pani sobie przypomnieć, co się wydarzyło, zanim uderzono panią w głowę, od czego mogła pani umrzeć?

- Nic sobie nie... przypominam - wyszeptała.

- I nie wie pani, kto mógł to zrobić?

- Czemu... ktoś miałby... aż tak... mnie nienawidzić?

- Proszę o tym nie myśleć - odezwał się markiz po chwili.

- Prędzej czy później przypomni sobie pani wszystko. Kiedy człowiek dozna szoku, utrata pamięci jest sposobem, w jaki natura ratuje nas przed innym urazem.

- Ma pan na myśli... uszkodzenie mózgu?

- To, co się wydarzyło, musiało być straszne - rzekł markiz. - I czasowa utrata pamięci uchroniła panią przed świadomością tego.

- Teraz... rozumiem - rzekła.

- A wracając do czarownic, nigdy jeszcze nie słyszałem o błękitnookiej czarownicy! Podania i legendy mówią, że mają one oczy zielone.

- Mam nadzieję, że... się pan... nie myli - powiedziała z westchnieniem.

- Jestem o tym przekonany!

- Służące... się mnie... boją - rzekła po chwili. - Ludzie mieszkający tutaj... obawiają się... czarownic.

Widocznie przypomniła sobie część przeszłości łączącą ją ze światem, w którym żyła. Ona także to zrozumiała.

- Powiedziała... przed chwilą... ludzie mieszkający tutaj... ale ja tutaj nie mieszkałam, prawda?

- A gdzie pani mieszkała? - zapytał markiz.

- Nie potrafię sobie... przypomnieć - powiedziała bezradnie. - To musiało być tam, gdzie, gdzie ludzie... obawiają się... czarownic!

- Czy nazwa Essex coś pani mówi?

- Essex... chyba znam tę nazwę. Czy jesteśmy w Essex?

- Tak - odpowiedział. - Znajduje się pani w hrabstwie Essex. Na północy jest rzeka Blackwater, na wschodzie Morze Północne, a na południu rzeka Crouch.

- Blackwater... - powtórzyła Idylla. - Znam... tę nazwę. Tylko nie wiem... jak ta rzeka... wygląda. Chciałabym sobie przypomnieć... ale nie mogę.

- Proszę się nie niecierpliwić - odezwał się markiz. - Jak już powiedziałem, natura ma swoje sposoby leczenia. Jestem przekonany, że kiedy rana na głowie zagoi się, przypomni sobie pani wszystko.

Próbował ją pocieszać. Nagle jej palce ścisnęły mocno jego rękę.

- Ale jeśli sobie przypomnę... że jestem czarownicą - powiedziała cicho - nie odda pan mnie z powrotem... tym ludziom, którzy... jak mówiła niania... chcieli mnie utopić w stawie?

- Idyllo, proszę spojrzeć na mnie! - zawołał markiz. - Obiecuję, przysięgam, jeśli trzeba, że nigdy nie dopomogę w prześladowaniu kogoś tylko dlatego, że natura obdarzyła go niezwykłymi właściwościami. Czarownice nie istnieją, Idyllo. Są wytworem chorej wyobraźni zacofanych i niewykształconych ludzi.

- Jest pan... tego... pewien?

- Tak! - odpowiedział. - Będę się panią opiekował. Nikt już pani nie skrzywdzi. Wierzy mi pani?

- Wierzę panu - powiedziała patrząc prosto w jego szare oczy.

- Powinna pani teraz odpocząć - rzekł. - Im więcej snu i lekarstw przygotowywanych przez nianię, tym szybciej dojdzie pani do zdrowia.

- Niania mówiła, że nazwał ją pan czarownicą - powiedziała ze słabym uśmiechem.

- To był tylko żart! - wyjaśnił. - A jeśli już mamy wierzyć w istnienie czarownic, to niech będą dobre i złe. Nasza niania jest dobrą czarownicą, kimś w rodzaju wróżki z bajki.

Gdy to mówił do pokoju weszła niania.

- Może wasza lordowska mość przestanie opowiadać panie Idylli te niewiarygodne historyjki, zanim nie przypomni sobie prawdy - rzekła.

- Właśnie sugerowałem, aby odpoczęła - usprawiedliwił się markiz. - Mówiłem, że im więcej będzie odpoczywać, tym szybciej wyzdrowieje.

- To prawda - zgodziła się niania. - Zaraz po obiedzie panna Idylla pójdzie spać.

Do pokoju weszła służąca niosąc na tacy posiłek, a markiz skierował się do wyjścia.

- Do widzenia, Idyllo - powiedział - życzę miłych snów. Wiele ludzi zazdrościłoby pani utraty pamięci, zwłaszcza dotyczącej przeszłości.

Uśmiechnęła się słabiutko, a on idąc po schodach zastanawiał się nad prawdziwością tego stwierdzenia. Przeszłość dla wielu ludzi była powodem zmartwień i udręczenia. Od pewnego czasu rozważał, jakby to było, gdyby udało się rozpocząć życie od nowa, bez oglądania się wstecz. Pojawienie się Idylli sprawiło, że zainteresował się wieloma sprawami, o których dawniej nie myślał.

Postanowił dowiedzieć się prawdy o jej pochodzeniu i wyjaśnić, dlaczego ktoś chciał ją zamordować. Idylla i jej przygoda pobudzały go do myślenia. Jak działa mózg? - zastanawiał się. Dlaczego pamięć zostaje uszkodzona przy fizycznym urazie? Czy natura stara się chronić mózg wymazując z pamięci tragiczne przejścia?

Rozważał te problemy podczas lunchu, teraz zaś wybrał się na przejażdżkę. Jeszcze nocą, kiedy myślał o Idylli, postanowił odwiedzić Trydell Hall i dowiedzieć się, czy Caspar Trydell jest w domu. Gdyby był, może mógłby mu coś powiedzieć na temat wypadku Idylli, choć prawdę powiedziawszy wątpił, czy Caspar chciałby mu pomóc. Trydell Hall znajdował się bliżej druidycznych kamieni niż Ridge Castle. Można było sądzić, że kamienny krąg leży na terenie majątku Trydellów, choć w rzeczywistości były to grunty należące do gminy.

Markiz jadąc przez pola myślał o Casparze Trydellu, którego nie lubił od chłopięcych lat i nie darzył również sympatią, gdy obaj dorośli. Oczywiście Caspar był mu bliższy wiekiem niż John, lecz o żadnej przyjaźni między nimi nie mogło być mowy. Kiedy raz markiz zaprosił go do zamku razem z bratem, Caspar zachowywał się tak niegrzecznie, że już więcej nie został zaproszony. Markiz przypuszczał, że John Trydell dlatego się z nim zaprzyjaźnił, bo z własnym bratem nie znajdował wspólnego języka.

Caspar był słaby fizycznie i może dlatego zachowywał się agresywnie i gburowato. Ojciec, lord Harold Trydell, traktował obu synów bardzo surowo. Starszy John jakoś lepiej to znosił, natomiast młodszy Caspar stał się skryty i zamknięty w sobie. Ponieważ czuł, że ojciec woli starszego brata, mścił się w dziecinny, irytujący sposób. Na przykład chował bratu strzelby albo usiłował zranić jego ulubionego psa, co się wydało i został surowo ukarany. Robił mu jeszcze inne

przykrości i chociaż John nigdy się nie skarżył, markiz wiedział, że atmosfera w ich domu jest napięta.

Jednego był pewien; nie lubił Caspara, a ten rewanżował mu się tym samym. Widywali się zresztą rzadko, a to, co o nim słyszał, potwierdzało tylko złą opinię. Jadąc teraz w stronę Trydell Hall, markiz pomyślał, że gdyby chciał osiąść na dłużej w Ridge Castle, musiałby ułożyć sobie jakoś sąsiedzkie stosunki z Casparem Trydellem. Trzeba będzie odrzucić dziecinne niechęci i zachowywać się jak przystało dojrzałym mężczyznom. Gdyby tak żył John - pomyślał markiz kierując się aleją w stronę domu Trydellów. Budynek pochodził z czasów królowej Anny, miał mało ciekawą architekturę, czerwone ceglane ściany i wielkie okna, które były jedyną jego ozdobą. Dom otaczał zarośnięty, zaniedbany ogród. Markiz musiał długo czekać, zanim pojawił się służący i odebrał od niego konia. Drzwi się otworzyły i stanął w nich siwowłosy mężczyzna. Markiz przypatrywał mu się przez chwilę, a potem powiedział:

- Dzień dobry, Bates! Chyba się nie mylę!

- Panicz Oswin! - zawołał stary człowiek. - Nie spodziewałem się pana tutaj!

- Jestem teraz na zamku - wyjaśnił markiz. - Chciałbym się widzieć z lordem Trydellem.

- Pana nie ma w domu - wyjaśnił Bates. - Ale proszę wejść, paniczu... przepraszam... milordzie. Dawno pana nie widziałem.

- Od tego czasu minęło chyba z dziesięć lat - rzekł markiz. - Spędzałem Boże Narodzenie razem z panem Johnem.

- Teraz sobie przypominam - rzekł Bates. - To było w roku 1789, a następnego lata pan John utonął.

Markiz wszedł do ponurego holu, a potem do saloniku, który od śmierci lady Trydell zupełnie stracił swój charakter.

Eleganckie sofy i krzesła zamieniono na inne meble, miejsce ozdobnych bibelotów zajęły książki, fajki, popielniczki. Pokój robił niemiłe wrażenie, a to zapewne dlatego, że chory lord Harold nie opuszczał swojej sypialni i nie dbał o resztę domu.

- Jak ci się wie, Bates?

- Czuję się dobrze, ale martwi mnie moja przyszłość.

- Co masz na myśli? - zainteresował się markiz.

- Lord Caspar zwolnił mnie ze służby.

- Zwolnił cię ze służby? - zdziwił się markiz. - Spędziłeś tu przecież długie lata i nie wyobrażam sobie tego domu bez ciebie!

- Pracuję od pięćdziesięciu trzech lat, milordzie! Kiedy tu przyszedłem miałem dwanaście lat, lord Harold zrobił mnie później kamerdynerem.

- Ale dlaczego lord Caspar wymówił ci pracę? Czy zapewnił ci jakieś zabezpieczenie na stare lata?

- Obiecał wypłacać pensję, lecz wątpię, czy to zrobi.

- No, a domek do zamieszkania? - dopytywał się markiz.

- Nie dał mi żadnego domu, milordzie!

Markiz zacisnął wargi. Przypomniawszy sobie, co o Casparze Trydellu opowiadał mu Roger Clarke.

- To wprost nie do wiary, co lord Caspar wyprawia - powiedział ze złością. - Jeśli nie będziesz miał gdzie mieszkać, dostaniesz dom ode mnie. Możesz też pracować u mnie w zamku, jak długo ci się spodoba.

Twarz starego człowieka rozjaśniła się.

- Pan nie żartuje, milordzie? Jeszcze ze mnie może być pożytek przez dobre kilka lat. Nie wyobrażam sobie życia bez pracy.

- Rozumiem, Bates, i cieszyłbym się, gdybyś przyszedł do nas pracować. Pan John bardzo cię cenił.

- Pan John był prawdziwym dżentelmenem! - powiedział Bates. - Wszyscy go kochali. Wprost wierzyć mi się nie chce, że utonął taki dobry pływak jak on!

- Jak to się właściwie stało? - zapytał markiz. - Nie znam szczegółów, bo zaraz po ukończeniu studiów wstąpiłem do wojska.

- Pan John poszedł sobie popływać, jak to zwykle robił latem. Pan wie, milordzie, jak bardzo lubił wodę.

- Oczywiście.

- Woda nigdy nie była dla niego za zimna - kontynuował Bates. - Tego fatalnego dnia wystąpiła mgła i przypyływ, jednak nie tak groźny jak zimową porą. Lecz pana Johna nie odstraszało żadne niebezpieczeństwo.

Markiz wiedział, że gdy rzeka Blackwater wzbierała, robiła się groźna, choć latem było to mniej niebezpieczne, a John miał zwyczaj pływać w niej poczynając od zatoczki Steeple.

- Pan John już nigdy nie wrócił - mówił Bates. - Kiedy zrobiło się późno i przyszła pora na kolację, zacząłem się niepokoić, że się spóźni i lord Harold będzie się złościł. Zapytałem pana Caspara czy nie widział brata, ale on odpowiedział, że nie. - Bates westchnął głęboko, a potem mówił dalej: - Gdy kolacja była gotowa, lord Harold oświadczył, że na nikogo nie będzie czekać z posiłkiem. Po kolacji wybrałem się na poszukiwanie pana Johna i dotarłem do zatoczki. Mgła opadła, a przypyływ cofnął się. Już chciałem wracać do domu, kiedy spostrzegłem ręcznik, płaszcz kąpielowy i pantofle panicza, który w tym stroju biegał do zatoczki. Do tego miejsca, jak pan wie milordzie, jest blisko mila drogi, ale dla panicza to było nic!

- Istotnie! - zgodził się markiz.

- Wróciłem do domu, zabrałem ze sobą dwóch ogrodników i kilku stajennych, ale gdy dotarliśmy na miejsce zrobiło się już ciemno i nic nie było widać.

- Kiedy go odnaleziono? - zapytał markiz.

- Po trzech dniach - odrzekł Bates. - Ciało wypłynęło dopiero w Shingle. Przyływ musiał je wynieść w morze, a przy powrocie wyrzucić na brzeg rzeki. - Bates przerwał na chwilę, zanim zaczął kontynuować opowieść: - Na głowie pana Johna była rana, jakby uderzył o jakąś ostrą skałę.

- O skałę? - zdziwił się markiz. - Tu prawie nie ma skał, tylko piasek i muł.

- Tak, wiem o tym, milordzie. Ale on miał na głowie głęboką ranę. Sam ją widziałem.

Markiz milczał przez pewien czas, po czym zapytał:

- I ty sądzisz, Bates, że ta rana pochodziła od uderzenia o skałę? A może ktoś go uderzył w głowę jakimś narzędziem?

- Nie wydaje mi się, żeby ktoś chciał zabić panicza Johna - odrzekł Bates.

- Zadałem ci pytanie, więc postaraj się odpowiedzieć - naciskał markiz.

- Chyba mogła to być rana od uderzenia, milordzie. Nigdy wcześniej o tym nie pomyślałem. Ale kto mógł zranić panicza? Wszyscy go tak lubili. W całym majątku każdy oddałby za niego życie. Zupełnie inny jest stosunek ludzi do lorda Caspara.

Bates obejrzał się, czując, że popełnił niedyskrecję.

- Gdy już odnaleziono pana Johna, w jaki sposób zidentyfikowano ciało?

- Ktoś z Shingle powiedział nam, że na plaży znaleziono topielca, ale ponieważ przy zmarłym nie było niczego, co pozwoliłoby go zidentyfikować, zawołali szeryfa, a ten już wiedział, że pan John zaginął.

- Kto tutaj pełni funkcję szeryfa? - zapytał markiz. - Czy jest to ten sam człowiek, który był przy identyfikacji?

- Tak, milordzie. Pan Trumble pracuje nadal. Był tu już przed utonięciem pana Johna.

- Gdzie mogę go znaleźć? - zapytał markiz.

- Jego biuro jest w Chelmsford, milordzie, lecz on mieszka niedaleko, w Malden. To będzie z dziesięć mil stąd. Jego dom nazywa się Malden Park. Ten szeryf to bardzo miły człowiek!

- Dziękuję ci, Bates - rzekł markiz i wsuwając mu gwineę w dłoń dodał: - Pamiętaj, że ja cię przyjmę z radością. Powiem mojemu zarządcy, panu Clarke'owi, żeby przygotował wszystko dla ciebie, gdy się zgłosisz.

- Dziękuję, milordzie, bardzo dziękuję! - odpowiedział Bates ze łzami w oczach. Tymczasem markiz szedł już przez hol ku wyjściu.

- Zapomniałem panu powiedzieć, milordzie - rzekł lokaj doganiając go - że lord Caspar wraca dziś wieczorem lub jutro w ciągu dnia.

- Czy pojechał do Londynu? - zapytał markiz.

- Tak, milordzie. Wyjechał przedwczoraj. Miał jakieś sprawy do załatwienia.

Bates mimo woli spojrzał na ścianę i wzrok markiza podążył w tym samym kierunku. Wisiał tam niegdyś cenny obraz, po którym pozostał tylko jaśniejszy ślad. Markiz rozejrzał się dokoła i stwierdził, że z holu zniknęło wiele obrazów o tematyce myśliwskiej. Zrozumiał teraz, jakie to interesy załatwiał w Londynie Caspar Trydell.

- Zawsze myślałem, że lord Harold był bogatym człowiekiem - zwrócił się do Batesa uważając, że jego ciekawość jest usprawiedliwiona.

- My też tak myśleliśmy, milordzie - odrzekł kamerdyner.
- To samo mówił adwokat, kiedy się tu pojawił po śmierci pana.

- Czy znasz może treść jego testamentu? - zapytał markiz.

- Na pewno była to zuchwałość z mojej strony, że interesowałem się testamentem, ale przepracowałem w tym domu wiele lat i adwokat znał mnie dobrze. - Bates przerwał na chwilę, po czym mówił dalej: - Adwokat powiedział mi, w jaki sposób lord Harold rozporządził majątkiem. I nie zmienił testamentu nawet po utonięciu pana Johna. - Starzec zawahał się przez moment. - Myślę, że nie mógł się pogodzić ze śmiercią starszego syna,

- Co było w tym testamencie? - naciskał markiz.

- Lord Harold przekazał w nim wszystko swojemu synowi Johnowi, a w przypadku jego śmierci majątek przechodził bez żadnych ograniczeń na potomstwo panicza Johna.

- Więc w testamencie nie uwzględnił młodszego syna Caspara Trydella! - powiedział wolno markiz.

- Lord Harold nie lubił pana Caspara. I choć nie przewidywał śmierci starszego syna, w swojej ostatniej woli dodał pewien punkt.

- Jaki? - zapytał markiz.

- „W przypadku śmierci mojego syna Johna i gdyby zmarł bezpotomnie, majątek przechodzi na mojego młodszego syna Caspara”. - Markiz milczał, a Bates dodał: - Adwokat mówił, że lord Harold był przeciwny dawaniu czegokolwiek panu Casparowi za życia pana Johna. - „John z pewnością zaopatrzy brata - powiedział do adwokata. - Gdyby o mnie chodziło, nie dałbym mu ani pensa. Niech sam się troszczy o siebie”. Bates pokręcił głową i wyjaśnił: - Lord Harold potrafił być bardzo niemiły, gdy ktoś mu się naraził.

- Więc pan Caspar mu się naraził? - zapytał markiz.

- Robił to ciągle, milordzie. Nie tylko nie słuchał rad ojca w wyszukiwaniu sobie jakiegoś zajęcia, ale prawie zawsze, gdy przyjeżdżał do domu, prosił ojca o spłacenie jego długów.

- I lord Harold to robił?

- Tak. Raz lord Harold powiedział mi po wyjeździe syna do Londynu, że nie może dopuścić do szargania jego nazwiska w gazetach.

- Rozumiem go - rzekł markiz. - Dziękuję ci, Bates.

Przed domem czekał już stajenny z koniem. Markiz wskoczył na siodło i w drodze powrotnej do zamku stwierdził, że teraz ma dużo więcej spraw do wyjaśnienia.

Rozdział 5

Idylla siedziała na balkonie w wyplatany fotelu, z twarzą ukrytą w cieniu rozpiętego baldachimu. Miała na sobie jedną z nowych sukienek zamówionych dla niej w Londynie przez markiza. Różowy kolor sukni podkreślał błękit jej oczu, a długie rozpuszczone włosy lśniły w promieniach słońca. Niania nie pozwalała ich upiąć, ponieważ rana na głowie jeszcze się nie zagoiła.

Markiz z uznaniem stwierdził, że kwitnące w donicach azalie są doskonałą oprawą dla jej urody. Idylla stała się częścią jego domu, choć wcześniej myślał o niej jak o wodnej rusałce. Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Jak się pani dzisiaj czuje? - zapytał.

- Tak dobrze, że chciałam zejść do ogrodu, ale niania mi nie pozwoliła.

- Z nianią nikt jeszcze nie wygrał - rzekł markiz. - Zawsze postawi na swoim.

- Ale ja chciałabym obejrzeć pański ogród - powiedziała Idylla. - Kwiaty na klombach cieszą wprawdzie oczy, ale są daleko.

- Przyjdzie taki dzień, kiedy będzie mogła pani ich dotknąć, zrywać do woli, ale nie trzeba się z tym śpieszyć - tłumaczył markiz.

- Boję się - zaczęła z wahaniem - że gdy tylko wyzdrowieję, już mnie tu nie będzie.

- Skąd pani to przyszło do głowy? - zapytał. Zerknęła do pokoju, czy nie ma niani. Markiz przysunął bliżej krzesło.

- Co panią martwi? - zapytał. - Proszę mi powiedzieć, co panią niepokoi?

- Pan pomyśli, że jestem bardzo głupia - wyszeptała.

- Nie zrobię tego, jeśli szczerze powie mi pani wszystko.

- Chciałabym... żeby mi pan.. coś ofiarował - rzekła po chwili.

- Co takiego?

- Krzyżyk.

Patrzył na nią zdumiony, bo kobiety prosiły go już o wiele rzeczy, ale nigdy o krzyżyk.

- Po co to pani? - zapytał.

- To trudno... wytłumaczyć - odezwała się Idylla. - Może ja rzeczywiście jestem czarownicą? Czuję, że dokoła mnie czai się zło!

- Proszę mi wyjaśnić, co pani przez to rozumie?

- To bardzo trudno... wyrazić słowami - rzekła - ale to jest tutaj. Coś złego się zbliża... Jest czarne... okropne... nie sposób przed tym uciec.

- Kiedy czuje to pani najczęściej?

- Nocami, ale za dnia... też się zdarza, kiedy zostaję sama.

- Czy sądzi pani, że krzyżyk pomoże?

- Ktoś... nie wiem kto... powiedział mi... nie potrafię tego powtórzyć, ale wiem, że muszę mieć krzyżyk. - Przerwała na chwilę. - Pamiętam wszystkie modlitwy i powtarzam je, gdy zło... się zbliża... i to czasem pomaga.

- Ale nie zawsze? - zapytał markiz.

- Prawie zawsze, gdy szczerze się modłę, ale gdy śpię... to niemożliwe i wtedy to... się zbliża!

Mówiła z drzeniem i markiz czuł, że naprawdę się boi. Wziął jej dłonie w swoje ręce.

- Znajdę dla pani krzyżyk - obiecał. - Ale sądzę, że to tylko gra wyobraźni.

- Ja też tak myślałam.

- Uderzenie w głowę wywołało szok. Po takim przeżyciu ma pani prawo do popadania w depresję.

- Powtarzałam to sobie wielokrotnie - rzekła. - Ale to coś złego... wciąż tu jest, tak jakby chciało mną zawładnąć.

Jeszcze dwa tygodnie temu markiz śmiałyby się z takich przeczuć. Ale po przybyciu do zamku, gdzie nasłuchiwał się

opowieści o czarach i czarownikach, nie mógł pozbyć się myśli, że jednak coś w tym jest i nie jest to tylko wymysł ciemnych chłopów. W bibliotece znalazł wiele książek poświęconych tym zagadnieniom. Jedną z nich napisał w XVIII wieku profesor prawa z Oksfordu William Blackstone. Markiz znalazł w niej następujące stwierdzenie: „Zaprzeczanie istnieniu czarów jest w sprzeczności z wieloma zdaniem zawartymi w Starym i Nowym Testamencie”.

Z przeczytanych dzieł markiz dowiedział się, że czarnoksiężskie praktyki były popularne w czasach Chrystusa i że gwałtowne prześladowania czarownic i czarowników przez Kościół katolicki, a po reformacji również przez protestantów, świadczą wymownie o istnieniu tego typu herezji.

Czy to jest możliwe, aby młoda dziewczyna wyczuwała istnienie złych sił, jeśli nie zetknęła się z nimi wcześniej? Skąd się to u niej wzięło?

Ponieważ markiz milczał, Idylla spojrzała na niego skonsternowana.

- Wiedziałam, że uzna mnie pan za nienormalną - rzekła.

- O niczym takim nie myślałem - odpowiedział. - Zastanawiałem się, jak się takie przecucie objawia i co je wywołuje.

- Nie odczuwam tego... teraz, bo pan jest ze mną - wyjaśniła. - I nigdy, kiedy jestem z nianią. Tylko wówczas... gdy zostaję sama.

- A może chce pani, żeby ktoś spał w tym pokoju? - zapytał. - Niania by się na to zgodziła na pewno.

- Nie, nie! - powiedziała Idylla. - Chcę tylko mieć krzyżyk. To mi pomoże.

- Skąd ta pewność? - zapytał.

Z książek poświęconych magii wiedział, że wezwanie boskiego imienia lub nakreślenie znaku krzyża psuje szyki

szatanowi. Był jednak ciekaw, skąd Idylla wie, że krzyżyk może jej pomóc.

- Zawsze miałam niezłomne przekonanie - powiedziała powoli - że dobro zwycięża zło, że do tych, którzy wierzą w Boga, szatan nie ma dostępu. Lecz nigdy dotychczas nie musiałam wykorzystać tej wiary dla własnej obrony.

- Ale ktoś musiał panią tej wiary nauczyć, nieprawdaż? - dopytywał się markiz.

- Chyba tak - odrzekła. - Ale nie wiem... kto to był.

- Czy przypomina sobie pani swoją matkę?

- Nie jestem... tego pewna.

- A ojca? Potrząsnęła przecząco głową.

- Z czasem sobie pani przypomni - pocieszał ją markiz ściskając lekko za rękę. - To przyjdzie samo, całkiem niespodzianie. Znajdę dla pani krzyżyk i proszę odmawiać swoje modlitwy.

- Wciąż je odmawiam - rzekła. - Dziękuję także Bogu za to, że mnie pan uratował. Gdyby nie pan, utonąłabym w tym stawie.

- Proszę o tym nie myśleć.

- Może to nienawiść wieśniaków wciąż czuję; wokół siebie - powiedziała cicho. Spojrzała na ramiona, na których zadrapania prawie się już zagoiły, a siniaki zbladły. - Jestem panu wdzięczna, ogromnie wdzięczna - dodała. - Właściwie to nie powinnam się skarżyć. Mogli przecież... połamać mi ręce i nogi. Mogli mnie nawet oślepić.

- Proszę o tym nie myśleć - powtórzył markiz, a po chwili dodał: - Mam dla pani lekarstwo na złe myśli, które, jak sądzę, rodzą się z samotności.

- Jakie? - zapytała.

- Zapraszam panią dziś na kolację - powiedział. - Niania zapewne nie pozwoli pani zejść do jadalni, więc zjemy w

saloniku sąsiadującym z pani sypialnią. Czy już go pani widziała?

- Zajrzałam tam - odrzekła. - To bardzo ładny pokój.

- A więc tam zjemy kolację - powtórzył markiz. - I proszę włożyć jedną z tych pięknych sukni, które przywieziono z Londynu.

- Dziś rano przyszła kolejna przesyłka - powiedziała Idylla. - A ja jeszcze panu nie podziękowałam. Jak mogę być tak niewdzięczna?

Patrzyła na niego z poczuciem winy, więc markiz uśmiechnął się.

- Podziękuj mi pani ubierając się pięknie na dzisiejszy wieczór - rzekł. - Ja także czuję się w zamku samotny, zwłaszcza podczas posiłków, więc nam obojgu wyjdzie to na dobre.

- Czy to przeze mnie musiał się pan tu zatrzymać... zamiast wrócić do Londynu... do przyjaciół? - zapytała nieśmiało.

- Pani osoba przyczyniła się do mojego pozostania na zamku - wyjaśnił markiz. - Ale wcale nie cierpię z tego powodu. Próbuję rozwikłać zagadkę związaną z panią, a jest to zajęcie niezwykle intrygujące.

To samo pomyślał, gdy późnym popołudniem wybrał się konno w pobliże tajemniczych kamiennych stosów. Stały wysoko nad rzeką i zapewne służyły kiedyś jako znaki orientacyjne. Był przekonany, że nie pełniły roli kultowej. Nie mógł jednak wyobrazić sobie, jak je ustawiono. Przy spławianiu łodziami trzeba by zatrudnić armię ludzi, którzy ciągnęliby ładunek po piasku, żeby później ustawić głazy na brzegu. Nawet gdyby rzeka miała wówczas nieco inne koryto, a kamienie spławiano by podczas przypiływu, było to zbyt trudne do wykonania. Głazy były olbrzymie, wyciosane z nieznanego w okolicy granitu.

Zwrócił uwagę na trzy kamienie, ponieważ wydawało mu się, że nie mogły być wykorzystywane przez druidów. Dwa sterczały na wysokość sześciu stóp, a trzeci ułożono poziomo pomiędzy nimi. Miejscowym kojarzyło się to z ołtarzem. Przy kamieniach wciąż widoczne były ślady krwi koguta rzuconego obok ciała Idylli.

- Kto ją tutaj położył? - zastanawiał się markiz. - I czemu po zamordowaniu jej, bo zapewne sądził, że nie żyje, zadał sobie trud zabijając koguta i zostawiając go przy niej?

Na te pytania nie znalazł odpowiedzi. Przypatrywał się kamieniom, gdy usłyszał czyjś głos:

- Przepraszam, milordzie!

Zobaczył mężczyznę w średnim wieku, którego twarz była mu skądś znana. Człowiek ten ubrany był skromnie, ale nie tak jak noszą się chłopci. Jego strój przypominał uniform gajowego.

- Pulsey! - zawołał markiz. - Poznałem cię!

- Tak, to ja! Pamięta pan, milordzie, jak wiele lat temu zabierałem was z panem Johnem na polowania?

- Skąd się dowiedziałeś o moim powrocie? - zapytał markiz.

- Wszyscy o tym mówią. A ja chciałbym porozmawiać z waszą lordowską mością.

- Czy masz do mnie jakiś interes?

- Może znalazłaby się dla mnie jakaś posada w zamku. Mogę robić wszystko.

- Więc lord Caspar już cię nie zatrudnia?

- Nie, milordzie. Zwolnił mnie trzy lata temu.

- A to czemu?

- Wymówił mi po tym wypadku. Uznał, że gajowy już mu nie będzie potrzebny.

- Nic nie słyszałem o żadnym wypadku - rzekł markiz.

- Może to nie był wypadek, ale lord Caspar stracił wskazujący palec u prawej ręki. Musiano mu go amputować.

- A co się stało?

- Podobno spadł z konia i zranił się kawałkiem szkła w palec. Początkowo myślał, że to drobnostka, ale wdało się zakażenie i lekarze, aby ratować rękę, musieli uciąć palec.

- To niemiła sprawa.

- Niektórzy powiadali, że to sprawa czarów.

- Czarów? Mów jaśniej.

- Nie chciałbym powtarzać miejscowych plotek, milordzie.

- Powiedz jednak, bardzo jestem ciekaw.

- Lord Caspar zainteresował się pewną dziewczyną z Latchington, miejscowości leżącej w Krainie Czarownic.

Markiz odniósł wrażenie, że każda rozmowa łączy się z czarami w taki lub inny sposób.

- Ta dziewczyna - kontynuował Pulsey - mieszkała u ciotki, o której powiadano, że była czarownicą. Lord Caspar próbował tam zachodzić, lecz ciotka wyrzuciła go z domu i ludzie słyszeli jak mówiła: „Jeśli pan tknie moją siostrzenicę, ręka panu uschnie”. To była bardzo groźna kobieta.

- Czy niedługo po tym lord Caspar stracił palec? - zapytał markiz.

- Nie minął nawet tydzień, milordzie. Ludzie mówili, że to było ostrzeżenie i lord Caspar tak to potraktował.

- Więc zostawił tę dziewczynę w spokoju?

- Niezupełnie. Z wielką pasją zaczął tępić czarownice, jak je nazywano. Podburzał przeciwko nim ludzi, a nawet doprowadził do postawienia przed sądem dwóch starych kobiet.

Markiz słuchał bardzo uważnie. W głowie zaświtała mu pewna myśl.

- Myślę, że nie ma w tym nic złego, jeśli opowiadam o tym panu, milordzie - kontynuował Pulsey. - Mieszkał pan tutaj przecież w dzieciństwie i wie pan dobrze, o czym się gada po wsiach.

- Oczywiście - przytaknął markiz. - Przyjdź jutro do zamku, Pulsey. Porozmawiam z moim zarządcą i z pewnością coś dla ciebie znajdziemy.

- Bardzo pan uprzejmy, milordzie - powiedział rozpromieniony Pulsey.

- Nie zapomina się o starych przyjaciółach - odrzekł markiz. - I o tym, co się im zawdzięcza.

- A czy pamięta pan, milordzie, jak pan zestrzelił dwie cyranki jednym strzałem?

- Ma się rozumieć! - uśmiechnął się markiz. Wracając do zamku myślał o całej sprawie zupełnie inaczej, a wszystkie ślady, jakie udało się ustalić, wiodły do Caspara Trydella. Teraz jednak musiał zadbać o kolację w towarzystwie Idylli. Zamówił kwiaty na stół i bardzo starannie ułożył jadłospis. Strój wybierał tak samo rozważnie, jak przed przyjęciem w Carlton House.

W ciemnoniebieskim aksamitnym żakiecie, ozdobionym śnieżnobiałym żabotem, prezentował się znakomicie. Zgodnie z obowiązującą modą nie nosił żadnej biżuterii. Wszedł do saloniku z niewielkim puzderkiem w ręce. Idylla już na niego czekała, pólleżąc na szezlongu z nogami przykrytymi aksamitnym pledem.

- Panienska może zjeść z panem kolację - rzekła niania - lecz musi jednocześnie odpoczywać. Nie może wstawać, dopóki nie odzyska pamięci.

- Ależ zdrowie twojej podopiecznej nie pogorszy się - powiedział markiz ze śmiechem - jeśli zje kolację ze mną, a nie sama w sypialni. Przyrzekam, że nie zatrzymam jej długo! Proszę cię, nianiu, nie psuj nam wieczoru! Przecież też kiedyś

byłaś młoda. A panna Idylla mogłaby brylować w londyńskim towarzystwie, zamiast popijać twoje ziołowe lekarstwa!

- Lecz one dobrze jej robią i panu też by się przydały, milordzie. Lepiej by się pan po nich poczuł niż po tych trunkach wypijanych w towarzystwie jego królewskiej mości.

- A co ty możesz o tym wiedzieć, nianiu? - zapytał. - Chyba że potrafisz latać na miotle i podglądałaś nasze hulanki lub zmieniasz się w muchę i fruwasz po królewskich pokojach.

- Niech wasza lordowska mość przestanie żartować! - oburzyła się niania. - Jeśli będzie pan tak mówił, służba przestanie mnie słuchać. Już i tak niektóre młódki uciekają, jak się zbliżam!

- Czy mam im kategorycznie oświadczyć, że jesteś czarownicą? - zażartował markiz.

- Czarownice nie istnieją - powiedziała niania. - A ta nieszczęsna dziewczyna jest raczej aniołem, a nie czarownicą!

Idylla rzeczywiście wyglądała czarująco ubrana w białą suknię z gazy ze srebrnymi ozdobami, które lśniły przy każdym poruszeniu. Niania upięła jej włosy, zczesując nie do góry, lecz na bok, co czyniło jej drobną twarzyczkę jeszcze mniejszą i bardziej uduchowioną. Błękitne oczy jaśniały uśmiechem.

- Wygląda pan wspaniale - powiedziała, gdy podszedł do niej. - Czy tak się pan ubiera idąc do Carlton House?

- Czasem dodaję kilka odznaczeń, błyszczących podobnie jak ten drobiazg, który pani przyniosłem - powiedział wręczając jej puzderko.

- Co to jest? - zapytała.

- To, o co mnie pani prosiła, krzyżyk. Otworzyła puzderko i krzyknęła zdumiona.

Wśród biżuterii po babce markiz znalazł krzyżyk wysadzany diamentami, zawieszony na łańcuszku

przetykanym perełkami. Idylla uważnie przyglądała się tej pięknej robocie.

- Nie mogę tego przyjąć! Ten krzyżyk jest zbyt kosztowny!

- To był jedyny krzyżyk, jaki udało mi się znaleźć. Należał do mojej babki i jak sądzę, nie będzie miała nic przeciw temu, że go pani nosi.

- A więc... pożyczam go od pana - rzekła z wahaniem - i oddam, gdy będę stąd odchodziła.

- Powinna go pani nosić tak długo, jak to będzie potrzebne. Czy pani pozwoli go zapiąć?

Usiadł na brzeżku szeszlona i wyjął krzyżyk z pudełeczka. Idylla przechyliła głowę, a markiz zapiął wisiorek na jej szyi. Ujęła krzyżyk w dłonie i przyglądała mu się uważnie.

- Jakież on piękny! To najpiękniejszy wisiorek, jaki kiedykolwiek widziałam! - zawołała. - Wprost wyrazić tego nie potrafię, jak jestem panu wdzięczna. Ten krzyżyk na pewno mi pomoże.

Uniosła głowę i markiz uświadomił sobie, że jak dziecko, chce mu podziękować pocałunkiem w policzek. Poczul, jak delikatne wargi muskają jego skórę. Ogarnęło go dziwne uczucie, którego nie potrafił nazwać. W tym momencie otworzyły się drzwi i weszli lokaje z pierwszym daniem, więc markiz wstał z miejsca. Do szeszlona przysunięto stolik, a z drugiej strony postawiono wygodny fotel dla markiza. Stół przyozdobiono wazą z białymi orchideami, w złotych świecznikach paliły się świece, a w srebrnym naczyniu z lodem chłodziły się butelki wina.

- Bardzo kocham orchidee, ale one niestety nie pachną - rzekła Idylla.

- Kiedy zapinałem krzyżyk, poczułem, że pach - nie pani konwaliami.

- To moje ulubione kwiatki, więc niania zrobiła z nich perfumy dla mnie. - Uśmiechnęła się zażenowana i dodała: - Cieszę się... że się panu podobały... lecz to bardzo okrutne niszczyć tyle kwiatków dla tak błażego celu.

- Myślę, że one z radością ofiarowały swoje życie dla pani - rzekł markiz, a Idylla zapłoniła się.

Choć niewiele jadła i wypła tylko odrobinę, markiz wiedział, że przyjęcie jej się podoba.

- Nigdy jeszcze nie jadłam tak wystawnej kolacji w tak znakomitym towarzystwie - powiedziała.

- Skąd ta pewność? - zapytał markiz.

- Bo nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak pan. Ich spojrzenia nieoczekiwanie się spotkały i było to wymowniejsze od słów. Lokaje zebrali ze stołu i odsunęli go na bok. Newman przystawił do szeszlona fotel markiza, na małym stoliczku postawił karafkę z koniakiem, po czym wyszedł z pokoju. Gdy zostali sami zawstydzona Idylla spuściła oczy i palcami dotknęła krzyżyka, jakby sprawdzając, czy się nie zgubił. Markiz przypatrywał się jej przez chwilę.

- Jest pani bardzo piękna, Idyllo! - powiedział.

- Piękna? - zapytała zdumiona. - Nikt mi jeszcze tego nie mówił!

- Skąd pani wie, że nie mówił? - zapytał markiz.

- Gdyby tak było... z pewnością bym pamiętała.

- To takie ważne?

- Bardzo ważne! Cieszę, że pan uważa, iż... jestem piękna.

- Dlaczego? - zapytał.

- Bo... jest pan bardzo miły - wyszeptała. - Dał mi pan tyle... pięknych sukni i pożyczył ten diamentowy krzyżyk. - Przerwała na chwilę, a potem dodała: - I uratował mnie pan... od śmierci, i przyniósł do swego domu.

- A więc to są powody, dla których pani chce być piękna?
- zapytał.

- Niania opowiadała mi - rzekła z wahaniem - w jakim eleganckim towarzystwie obraca się pan w Londynie... że bywa pan u bardzo urodziwych dam. Nie chciałam, żeby pan poczuł się rozczarowany... moim wyglądem.

- Mogę panią zapewnić, że nie tylko nie jestem rozczarowany, lecz nigdy jeszcze nie przebywałem w towarzystwie osoby tak uroczej jak pani, Idyllo!

- Pan rzeczywiście... tak myśli? - zapytała z błyskiem w oczach.

- Mówię najszczerzą prawdę. Markiz odstawił kieliszek koniaku na stolik, wstał z fotela i przysiadł na szezlongu, na którym leżała Idylla. Jego bliskość przyprawiła ją o drzenie, lecz to nie był strach.

- Przed kolacją, gdy wręczyłem pani krzyżyk, pocałowała mnie pani w policzek - powiedział. - Chciałbym teraz podziękować za najmiłszy wieczór w moim życiu. Czy mogę?

Ponieważ nic nie odrzekła przysunął się bliżej, objął ją, spojrzał prosto w oczy i delikatnie pocałował w usta. Jej słodkie, miękkie wargi przypominały płatki kwiatów. W czystości i niewinności Idylli było coś niezwykle pociągającego. Gdy znów oparła się na poduszkach, spojrzała na niego zamglonym wzrokiem.

- Nie przypuszczałam... że pocałunek jest taki... - wyszeptała.

- Jaki?

- Jak lot w przestworzach, jak modlitwa.

- Modlitwa? - zdziwił się markiz.

- Czasem, gdy się modlę - wyjaśniła - czuję się tak, jakbym ulatywała do góry, jakbym śpiewała razem z aniołami. Tak się właśnie czułam... kiedy mnie pan całował.

Markiz uniósł jej rękę i pocałował.

- Wiele mamy sobie jeszcze do powiedzenia, Idyllo - rzekł. - Ale dziś nie chcę pani męczyć. Proszę zasnąć z myślą o tym pocałunku. Niech krzyżyk pomoże pani czuć się bezpiecznie. - Znow pocałował jej dłoń i wstał z szezlonga. - Dobranoc, Idyllo! To imię znakomicie do pani pasuje! Jest pani doskonałością!

Dla Idylli jego głos brzmiał niczym dźwięk harf anielskich. Gdy tylko markiz wyszedł, pojawiła się niania.

- Już wpół do dziesiątej - rzekła. Od godziny powinna panienka leżeć w łóżku. Mówiłam jego lordowskiej mości, żeby długo pani nie zatrzymywał, bo pani nie wypocznie.

Idylla nic nie odpowiedziała, tylko wciąż myślała o tym, że szczęście, jakie ją spotkało, jest chyba darem niebios.

Markiz przebudził się ze świadomością, że przez dłuższy czas nie mógł zasnąć. Położył się tuż przed północą, choć nie był zmęczony, lecz chciał zwolnić lokaja czekającego na niego w sypialni. Zwykle nie zwracał uwagi na samopoczucie służby, tym razem jednak przyszło mu do głowy, że być może Harris chce się udać na spoczynek.

Noc była ciepła, więc zostawiono szeroko otwarte okna. Leciutki powiew wiatru przedostającego się przez zasłony przypominał mu dotyk ust Idylli. Było to zupełnie odmienne doznanie, niż przy całowaniu innych kobiet. Uświadomił sobie nagle, że wszystkie poprzednie pocałunki nic dla niego nie znaczyły, nie pamiętał ich nawet, a kobiety, które znał, nie pozostawiły w jego sercu trwalszego śladu. Były piękne, bawiły go, znały się na sztuce kochania, lecz właściwie niczym się od siebie nie różniły. Miał nadzieję, że któraś przyciągnie go na dłużej, lecz za każdym razem doznawał rozczarowania. W końcu nudziły go i czar pryskał.

- Jakie właściwie uczucia żywię wobec Idylli? - pytał sam siebie i wprost nie chciało mu się wierzyć, żeby mogła znaczyć dla niego więcej niż inne kobiety.

Była od niego dużo młodsza i młodsza od kobiet, z którymi zwykle się wiązał. Dotychczas cenił w kobietach doświadczenie w miłości, a także pewnego rodzaju rytuał czyniący z miłości sztukę. Idylla nie miała pojęcia o tym wszystkim. Całując ją czuł, że żywo reaguje na jego pieśczoć. Dziwnym trafem on przeżywał je równie głęboko i to zarówno w sensie duchowym, jak i fizycznym.

- Do diabła! To chyba jakaś magia!

Powiedział to głośno i w tej samej chwili uświadomił sobie, że pragnie zdezwuować oczarowanie, które nie wiadomo skąd się wzięło i po prostu się go boi. Tłumaczył je bliskością Krainy Czarownic, swoją uległością wobec mocy czarów i był skłonny w to wierzyć. Realistycznie nastawiona część jego świadomości usiłowała temu zaprzeczyć. Niemniej pocałunek Idylli był niezwykły! Wywołał w nim uczucia, jakich nigdy nie doznawał. Gdy zasnął, śniła mu się Idylla i teraz, nie wiedząc czemu, przebudził się w środku nocy.

Wiatr bezszelestnie kołysał zasłonami. Zastanawiał się, dlaczego się obudził, przecież do świtu było jeszcze daleko. Zdawało mu się, że Idylla go wzywa. Nawet gdyby tak było, nie mógł jej usłyszeć, choć jego sypialnia była na tym samym piętrze, kilka pokoiów dalej. Wciąż nie mógł się pozbyć wrażenia, że go woła. - To miejsce dziwnie oddziałuje na moją wyobraźnię! - rzekł do siebie. - Im szybciej stąd wyjadę, tym lepiej!

Wstał z łóżka, włożył szlafrok, wsunął nogi w pantofle i wyjrzał przez okno. Noc była gwiazdzista, księżycowa, choć była to dopiero pierwsza kwadra. Księżyc przywodził mu na myśl srebrzystą suknię Idylli, jaką miała na sobie podczas kolacji.

Spojrzał w stronę jej pokoju i oniemiał z wrażenia. Na balkonie, zupełnie wyraźnie ujrzał mężczyznę! Po chwili dostrzegł drugiego w ogrodzie. Pomiedzy balustradą a

trawnikiem widać było jakby zawieszoną postać w bieli. Przez chwilę nie rozumiał, co się dzieje, lecz wkrótce pojął, że spuszcza ją na dół po sznurze Idyllę. Przeszedł go zimny dreszcz i zaskoczony znieruchomiał. Postanowił zaatakować napastników przed domem. Do salonu położonego pod sypialnią Idylli miał długą drogę. Przebył ją jednak błyskawicznie i stąd zdecydował wydostać się na taras. Przypuszczał, że mężczyzna, który na dole przygotowywał się do odebrania Idylli będzie patrzył w górę.

Wyjrzał na zewnątrz i zobaczył tego mężczyznę, dostrzegł także drabinę, po której jego towarzysz wspiał się na balkon. Wziął do ręki mocny pręt służący do zapalania świec i tak uzbrojony prześlizgnął się na taras. Związane ciało Idylli sięgało już niemal ziemi, dlatego mężczyzna nie dostrzegł zbliżającego się markiza. Drugi z napastników zapewne schodził po drabinie.

Markiz uderzył z całej siły prętem w głowę tego, który stał na dole. Mężczyzna jęknął i upadł na ziemię. Teraz ten schodzący po drabinie skoczył na markiza. Gdyby udało mu się zaatakować od tyłu z pewnością by go obalił, lecz markiz uskoczył w bok. Tego również zdzielił prętem po głowie i powalił, po czym odrzucił pręt i podbiegł do Idylli. Stała oparta o drabinę, owinięta sznurem z zakneblowanymi ustami. Po wyjęciu knebla jęknęła i przytuliła się do niego.

- Już wszystko dobrze, kochanie, już dobrze! Czy nic ci nie zrobili?

Nie była w stanie odpowiedzieć, drżała na całym ciele, więc wolną ręką zaczął rozwiązywać krępujące ją sznury. Gdy więzy opadły, nie patrząc nawet na leżących na ziemi napastników, markiz zaniósł Idyllę przez taras do salonu tą samą drogą, którą wydostał się na zewnątrz.

- Tak jest szybciej - powiedział - i postawił ją na podłodze. - Proszę, przytrzymaj się jakiegoś krzesła, żebyś nie

upadła. Zaraz będę przy tobie. Zrobiła, co kazał. Po chwili przytulił ją drżącą do siebie.

- Zaraz zaniosę cię do sypialni - rzekł uspokajająco.

Miała na sobie tylko cieniotką koszulkę, jej ciało było zimne i wciąż drżała ze strachu. Gdy ją kładł na łóżku, w nikłym świetle dochodzącym od okna dostrzegł połyskujący na jej szyi krzyżyk i pomyślał, że to on ją uratował.

- Posłuchaj, kochanie - powiedział. - Zostawię cię teraz na chwilę i poszukam nocnego stróża, by związał i zamknął tych ludzi, którzy chcieli cię porwać. Czy mam zawołać nianię, czy poczekaś tu na mnie sama? - Nic nie odpowiedziała, więc mówił dalej: - Natychmiast wracam i wtedy opowiesz mi, jak to się stało. Zapewniam cię, że to się już nigdy nie powtórzy.

Zamknął drzwi balkonowe, zapalił świece i ustawił je przy łóżku, aby się nie bała.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Tak się modliłam... żeby pan mnie uratował - wyszeptała.

- Usłyszałem twoje modlitwy - rzekł.

- Przypomniałam sobie... - krzyknęła nagle. - Przypomniałam sobie... kim jestem.

Rozdział 6

Zaledwie kilka minut zajęło markizowi odnalezienie stróża i wydanie poleceń dotyczących obudzenia Newmana i lokajów oraz wniesienia związanych złoczyńców do domu. Markiz nakazał ich zamknąć, aż do chwili przekazania szeryfowi. Biegąc do sypialni Idylli pomyślał, że stróż nocny powinien pilnować ogrodu, a nie przebywać wewnątrz zamku.

- Kto jednak mógł przewidzieć porwanie mojego gościa?

Wydało mu się wprost nieprawdopodobne, że ktoś odważył się to zrobić, niewątpliwie z powodzeniem, gdyby nie udało mu się temu zapobiec. Wszedł do sypialni i ujrzał Idyllę wpatrującą się w drzwi. Nie obudził niani, bo chciał usłyszeć opowieść Idylli bez świadków. Był przekonany, że sam zdoła ją uspokoić i wyprowadzić z szoku, jakiego doznała. Usiadł na brzegu łóżka i ujął jej zimne, drżące ręce.

- Już wiem... kim jestem - powiedziała cicho.

- Bardzo jestem ciekaw to usłyszeć, ale nie musimy się śpieszyć - rzekł. - Chciałbym najpierw rozpalić w kominku, bo marzniesz, a także dać ci coś do picia.

- Na bocznym stoliku... powinna stać... lemoniada z miodem - odezwała się.

Markiz domyślał się, ile wysiłku kosztuje ją mówienie.

- Wszystko przygotuję, a ty odpręż się i pomyśl, że nic ci już nie grozi. - Uśmiechnął się do niej, podszedł do kominka, ułożył drewno i podpalił. Płomienie szybko objęły suche szczapy. Markiz odnalazł teraz lemoniadę i nalał do szklanki. - Powinnaś raczej napić się czegoś gorącego - rzekł. - To chyba nie jest najlepsze lekarstwo po doznanym szoku.

Nic nie mówiąc wzięła od niego napój. Wypiła łyk i drżącymi rękami odstawiła szklankę.

- Teraz opowiedz mi, co tu się wydarzyło - poprosił.

- Musiałam chyba spać - zaczęła - bo gdy się nagle przebudziłam... zobaczyłam dwóch mężczyzn... stojących przy

łóżku. Jeden z nich zakneblował mi usta chusteczką. Próbowałam się bronić... ale bezskutecznie. Oni mnie związali i co było... najstraszniejsze... nic nie mówili. Pomyślałam więc, że to tylko sen i wkrótce się przebudzę.

- Wiem, co się dalej działo - powiedział markiz ściskając jej dłoń. - Zanieśli cię na balkon i zaczęli spuszczać na dół na sznurze.

- Tak właśnie było - rzekła. - To wtedy zaczęłam się modlić... czułam, że w ten sposób dam panu znać... co się ze mną dzieje.

- Usłyszałem twoje modlitwy - powiedział. - Nagle się przebudziłem.

- Miałam taką nadzieję... tak bardzo pana potrzebowałam - wyszeptała.

- Gdybym się nie obudził i zastał rankiem puste łóżko, chybabym zwariował! - powiedział poważnie, a potem dodał:

- A może bym uznał, że jako czarownica wyleciałaś przez okno na miotle!

Idylla uśmiechnęła się słabiutko.

- Czy to teraz wróciła ci pamięć? - zapytał.

- To było wówczas, kiedy zobaczyłam... jak pan uderza w głowę tego człowieka - powiedziała. - Gdy w taki sam sposób powalił pan drugiego napastnika, mój umysł całkiem... się przejaśnił!

- Skąd ta pewność?

- Bo coś podobnego... już się kiedyś wydarzyło. Widziałam, jak jakiś człowiek uderzył mojego dziadka w podobny sposób.

Mówiła bardzo niewyraźnie i w jej oczach pojawiły się łzy. Przytuliła się do niego łkając rozpaczliwie. Tulił ją do siebie całując włosy pachnące konwaliami.

- Uspokój się, kochanie! - rzekł. - Nie mogę znieść, jak płaczesz!

Próbowała zapanować nad sobą. Wkrótce przestała płakać i markiz chusteczką otarł jej oczy.

- A może nie będziemy teraz o tym rozmawiać? - zapytał.
- Pójdiesz spać, a opowiesz mi o wszystkim rano.

- Nie, nie - wyszeptała. - Boję się, że znów mogę... zapomnieć.

- Dobrze, opowiadaj, jeśli chcesz. Oparła się o poduszki, wciąż trzymając go za rękę.

- Płynęliśmy łodzią - wyszeptała. - Znajdowaliśmy się niedaleko brzegu... kiedy ten człowiek złapał kawał drewna... czy jakąś pałkę i... uderzył nią dziadka w głowę. Dziadek upadł... a ten człowiek bił go jeszcze i jeszcze. Musiałam chyba krzyczeć. Potem ten mężczyzna... wyrzucił dziadka za burtę i uderzył mnie. Niczego więcej... nie pamiętam.

Jej ciałem wstrząsały konwulsje, a w oczach pojawiło się przerażenie.

- Nie wiesz, kim był ten mężczyzna? - zapytał markiz.

- Nie, przyszedł na farmę i... powiedział dziadkowi, że... zaszła pomyłka... i osoba potrzebująca... jego pomocy... znajduje się na drugim brzegu rzeki.

Opowiadała bezładnie, więc markiz poprosił:

- Zacznijmy, jeśli można, od początku. Jak się nazywasz i jakie nazwisko nosił twój dziadek?

- Noszę nazwisko dziadka, który nazywał się Stalford - wyznała po chwili. - Dziadek był proboszczem w Gore, takiej wiosce niedaleko Goldhanger.

- To chyba po tamtej stronie rzeki? - zawołał markiz.

- Odkąd tylko pamiętam... mama wraz ze mną... mieszkała na plebanii, a kiedy umarła... zostaliśmy tylko we dwoje z dziadkiem.

- Czy znasz nazwisko swojego ojca? - zapytał.

- Nigdy... go przy mnie... nie wymieniono.

- Ale ojca znałaś?

- Tak, ale on umarł... kiedy miałam osiem lat.
- A przedtem, czy mieszkał na plebanii?
- Nie, ale bywał u nas często, chociaż...
- Co takiego?
- Musiała się z jego osobą wiązać... jakaś tajemnica - wyznała. - Mama nigdy mi o tym nie mówiła, ale ja... jako dziecko... nie mogłam zrozumieć... czemu papa z nami nie mieszka... jak tatusiowie innych dzieci. Kochałam go jednak bardzo i kiedy umarł... wiedziałam, że mama jest bardzo nieszczęśliwa.
- Ale wciąż nie wyjawiała ci jego nazwiska?
- Kiedy ją raz zapytałam odpowiedziała: - Powinnaś wiedzieć o swoim ojcu tylko to, że był najwspanialszym mężczyzną na świecie. Kochaliśmy się wzajemnie i kochaliśmy ciebie, Idyllo. Chciałam, żebyśmy byli razem, ale skoro Bóg go zabrał musimy pogodzić się z Jego wolą. - Mama płakała, kiedy mi to mówiła, więc wołałam więcej o papie nie wspominać.
- A teraz opowiedz mi, co się wydarzyło tej nocy, kiedy zamordowano twojego dziadka?
- Było późne popołudnie, kiedy przybiegł wiejski chłopiec i powiedział, że dziadka wzywają do umierającego na wysepce Osea.
- Na tej wysepce nie ma wielu domostw zauważył markiz.
- Wiem. Jej mieszkańcy byli parafianami dziadka.
- Jak się dostaliście na wyspę? - zapytał.
- Czekaliśmy na nas łódź z wioślarzem.
- Czemu wybrałaś się z dziadkiem?
- Ten mały posłaniec powiedział, że jestem potrzebna do zajęcia się dziećmi, gdy dziadek będzie rozmawiał z umierającą kobietą.
- Czy często tak robiłaś?

- Gdy zachodziła taka konieczność - odrzekła. - Dziadek był trochę głuchy, więc musiał uciszać dzieci, żeby mu nie przeszkadzały w wysłuchaniu spowiedzi.

- Rozumiem - powiedział markiz.

- Wybraliśmy się razem - mówiła Idylla - a ponieważ trzeba było się śpieszyć, narzuciłam tylko na suknię gruby płaszcz. Nie sądziłam, że długo pozostaniemy poza domem.

- Czy powiedziałaś komuś, dokąd się wybierasz?

- Nie było komu powiedzieć - odrzekła. - Przychodziła do nas wprawdzie rano kobieta do sprzątnięcia, ale kolacje przygotowywałam sama.

- Myślałaś zapewne, że wkrótce będziesz z powrotem.

- Zabrałam ze sobą tylko trochę zupy dla chorej, a dla dzieci truskawki.

- I co się wydarzyło, kiedy znaleźliście się na wyspie?

- Poszliśmy na farmę, gdzie, według słów chłopca, oczekiwano nas, lecz tam nam powiedzieli, że zaszła chyba jakaś pomyłka, bo oni nikogo nie wzywali.

- To musiało was wprawić w zdumienie.

- Rzeczywiście - przytaknęła Idylla. - Ludzie ci jednak prosili, żebyśmy się ogrzali przy ogniu. Jeden z synów gospodarzy pobiegł dowiedzieć się, czy ktoś z sąsiadów nie jest chory. I wówczas... pojawił się w drzwiach ten mężczyzna.

- Jak wyglądał? - zapytał markiz.

- Był ciemnowłosy, miał długi nos i wystawiał się jak człowiek wykształcony. Jego twarzy nie widziałam dokładnie, ponieważ nosił kapelusz nasunięty głęboko na oczy.

- Co powiedział? - zapytał markiz.

- Powiedział, że chorą kobietę zabrano na ląd i dziadek powinien natychmiast się tam udać.

- Nie pytaliście go o nic?

- Nie, dziadek pewnie pomyślał, że szkoda czasu na gadanie, skoro ktoś umiera. Poszliśmy za nim do miejsca, gdzie była przycumowana łódź.

- Była to oczywiście inna łódź niż ta, którą przyплыnęliście?

- Tak. Była większa. Gdy tylko wsiedliśmy, ten człowiek zaczął wiosłować, ale nie w stronę zatoki Goldhanger, lecz na drugi brzeg rzeki.

- Nie pytaliście go, dokąd was wiezie?

- Nie. Ja usiadłam na dziobie, a dziadek chwycił za drugą parę wiosł w mówiąc do obcego: - Pomogę wiosłować, tak będzie szybciej.

- Czy dziadek nie zwrócił uwagi, że płyniecie na południe, a nie na północ?

- Może coś mówił, ale nie mogę sobie przypomnieć. Przez cały czas myślałam o zapomnianej w pośpiechu zupie i truskawkach. Chyba jednak o czymś rozmawiali, bo zwróciłam uwagę, że ten mężczyzna nie ma akcentu charakterystycznego dla ludzi z Essex i wysławia się jak dżentelmen.

- I co się stało?

- Kiedy odwróciłam się, ujrzałam brzeg rzeki, a kiedy odwróciłam się po raz drugi, ten człowiek... zaatakował dziadka. To było okropne! Widziałam jak wrzucał dziadka do wody - opowiadała z drżeniem.

- Uspokój się - powiedział markiz obejmując ją. - Dziadek na pewno cieszy się teraz, że ty przynajmniej zostałam przy życiu!

- Ja sądzę... że ten... kto zabił dziadka... usiłuje teraz... mnie zabić! - szepnęła.

Dla markiza było to oczywiste. Planowano ją porwać i zabić. Zastanawiał się, dlaczego ludzie, którzy przyszli po nią, nie zabili jej w sypialni. Jednak za taką zbrodnię groziła

szubienica, więc nie było chętnych. Plan zapewne był taki: porwać ją z zamku i przekazać mężczyźnie, który zabił wcześniej jej dziadka, a człowiek ten już by sobie z nią poradził lepiej niż za pierwszym razem. Taki scenariusz ułożył się przed oczami markiza jasno i wyraźnie, lecz on milczał, żeby nie trwożyć Idylli.

- Jutro dowiemy się jeszcze wielu szczegółów - powiedział. - Teraz spróbuj zasnąć. Jeśli nie nabierzesz sił, nie będziesz mogła mi pomóc.

- W jaki sposób? - zapytała.

- Zamierzam oddać w ręce sprawiedliwości człowieka, który zamordował twego dziadka i zranił ciebie.

- I ja mogę... być w tym... pomocna?

- Oczywiście. Dlatego musisz się dobrze wyspać. A żebyś się nie bała, położę się na sofie.

- Tam będzie niewygodnie - odezwała się.

- Spałem już w gorszych warunkach - odpowiedział - lecz jeśli wolisz mogę obudzić nianię. Lepiej jednak, gdy się zgodzisz na moją propozycję.

- Wolę zostać... z panem.

- Miałem taką nadzieję. - Wstał i okrył ją kołdrą. - Zamknij oczy i zaśnij - powiedział. - W przeciwnym razie jutro nie będziesz się dobrze czuła.

- Chciałabym bardzo przydać się... do wyjaśnienia sprawy - wyszeptała.

Markiz otulił ją szczelniej i zgasił świece. Potem położył się na sofie stojącej w pobliżu kominka. Pomyślał, że będzie musiał opuścić sypialnię Idylli przed szóstą, zanim pojawi się niania. W wojsku nauczył się budzić o wyznaczonej godzinie i był pewien, że ten nawyk go nie zawiedzie. Nie pozwolił sobie na długie rozmyślania, ponieważ rano musiał być świeży i wypoczęty.

Tajemnica Idylli nieco się odsłoniła, ale pozostało jeszcze wiele szczegółów do wyjaśnienia. Postanowił, że człowiek, który chciał zgładzić tak cudowną istotę jak Idylla, bezwarunkowo zawiśnie na szubienicy.

Markiz przypatrywał się mężczyznom, którzy chcieli porwać Idyllę. Były to jakieś ciemne indywidua. Brudni, zarośnięci, z twarzami splamionymi krwią od uderzeń, jakie im zadał. Nie spodziewał się usłyszeć od nich nic ciekawego. Pochodzili ze slumsów w Shoreditch. Tam w gospodzie spotkali dżentelmena, który im obiecał po dziesięć funtów, jeśli porwą młodą dziewczynę, na którą miał chrapkę. Ten dżentelmen powiedział dokładnie, co mają robić. Wyposażył ich w konia i wózek do przewiezienia związanej i zakneblowanej Idylli nad zatoczkę Lowring. Wózek stał nadal w parku z koniem przywiązany do drzewa. Choć markiz i szeryf przepytывali ich dokładnie kilka razy, nie dowiedzieli się niczego więcej, czego by wcześniej nie wiedzieli.

Szeryf nakazał przewieźć rzezimieszków do Chelmsford, gdzie w więzieniu mieli oczekiwać na proces. Potem markiz zaprosił pułkownika Trumble do biblioteki i opowiedział mu całą historię, poczynając od momentu, kiedy ujrzał Idyllę spuszczaną na sznurze do ogrodu.

- To był niezły pomysł - powiedział pułkownik Trumble.
- Ci łajdacy sami by tego nie wymyślili.
- Tu działał ktoś z głową, a pchała go do tego nie tylko nienawiść, ale też żądza zysku!
- Z czego pan to wnosi, milordzie? - zapytał pułkownik.
- To, co panu powiem, niech zostanie między nami. Na razie to tylko moje przypuszczenia. Nie mam na to dowodów, ale znajdę je. Wówczas człowiek, który zabił proboszcza z Gore i nastawał na życie jego wnuczki, otrzyma wyrok, na jaki zasłużył!

- Proszę podzielić się ze mną swoimi podejrzeniami - zachęcił pułkownik.

I markiz zaczął opowiadać.

Rozmowa z szeryfem trwała ponad godzinę. W końcu markiz odprowadził go do wyjścia. - Cieszę się ze spotkania z panem, milordzie - powiedział pułkownik Trumble. - To miło z pana strony, że pan zawitał do nas. Zawsze podziwiałem zamek i było mi przykro, że stoi pusty.

- Ja także żałuje, że nie przyjeżdżałem tu częściej - wyznał markiz. - Jako chłopiec bardzo kochałem te strony. Obawiałem się rozczarowania.

- I co? - zapytał pułkownik.

- Podoba mi się tu bardziej niż kiedykolwiek - odparł markiz.

- Zatem zostanie pan tu na dłużej lub wkrótce znów przyjedzie - rzekł szeryf. - Roger Clarke wspominał panu zapewne, że jesienią można się spodziewać świetnych polowań na dzikie ptaki.

- Już umówiłem się z Clarke'em na wrzesień. Sądzę, pułkowniku, że razem zapolujemy.

- Z radością przyjmę zaproszenie - zapewnił szeryf i zadowolony odjechał swoim powozem.

Markiz pobiegł na górę do sypialni Idylli. Była już ubrana i siedziała na balkonie, z wyrazu jej twarzy domyślił się, że czekała na niego.

- Co się stało? Już myślałam, że nigdy pan do mnie nie przyjdzie, a ja jestem ciekawa, czego się pan dowiedział.

- Właściwie niewiele mam do powiedzenia - oświadczył. Pomimo okropnej nocy wyglądała świeżo i ładnie. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, zrozumiał wszystko. Czują się szczęśliwa, ponieważ on był obok. Jej czy łśniły, policzki były zaróżowione.

- Zanim zaczniemy o czymkolwiek rozmawiać, chciałbym się dowiedzieć, jak ci się spało i jak się czujesz? - Rozejrzał się, czy nie ma w pobliżu niani i dodał: - Kiedy stąd wychodziłem rano, spałaś jak aniołek i mam nadzieję, że śniłaś o mnie.

- Chyba istotnie tak było - powiedziała rumieniąc się - bo gdy się obudziłam, nie bałam się i byłam taka szczęśliwa!

- Czy teraz też jesteś szczęśliwa? - zapytał.

- Tak, bo pan jest przy mnie - odparła z prostotą. - Bez pana czas mi się dłużył.

- Ja także nie mogłem się doczekać spotkania z tobą - rzekł. - Ale musiałem jeszcze porozmawiać z szeryfem.

- Powiedział mu pan o dziadku?

- On już wiedział. Doniesiono mu oficjalnie, że pastor z Gore i jego wnuczka zniknęli, ale nie potraktował tej informacji poważnie. Tłumaczył mi, że wielu ludzi wyjeżdża nie mówiąc o tym nikomu.

- To prawda - wyszeptała Idylla.

- Obiecał posłać swoich ludzi na plebanię, aby powiadomili parafian o tym, co się stało i zabezpieczyli dom przed kradzieżą.

- Nikt ze wsi niczego od nas nie zabierze - rzekła Idylla i dodała innym już tonem: - Czy ciała dziadka nie odnaleziono?

- Jeszcze nie, ale szeryf zarządził poszukiwania. Przypływ mógł zawlec ciało do morza i wyrzucić je w zupełnie innym miejscu.

- Tak, rozumiem.

- Chciałbym cię o coś zapytać - rzekł markiz. - Gdzie twój dziadek trzymał księgi parafialne z wpisami narodzin, ślubów i zgonów?

- W zakrystii. W dolnej szufladzie szafy, w której są komże.

- Dziękuję. To wszystko, co chciałem wiedzieć.

- Czemu to pana interesuje? - zapytała.

- Powiem ci o tym później - rzekł. - Teraz postaraj się jak najprędzej nabrać sił.

- Czuję się doskonale. Niania powiedziała, że gdyby nie te nocne przygody pozwoliłaby mi dziś zejść do ogrodu. Tak bardzo chciałabym obejrzeć z panem miejsca, gdzie się pan bawił jako chłopiec.

- Wszystko pokażę ci jutro - obiecał. - Zdrowiej szybko, bo zaplanowałem coś dla nas.

- Coś, co moglibyśmy robić oboje? - zapytała ciekawie.

- Tak, oboje! - nachylił się i ujął jej rękę. - Chciałem z tym zaczekać, ale po tym, co się wydarzyło dzisiejszej nocy, ogarnął mnie strach, że możesz zniknąć, jeśli nie będę cię trzymał mocno w ramionach. Czy wyjdiesz za mnie, Idyllo?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Nie spodziewała się takiej propozycji, mimo iż był pewien, że go kocha. Gdy pojęła znaczenie tych słów, jej oczy rozblęskły.

- To cudowne, że... proponuje mi pan małżeństwo, ale ja... nie mogę się na to zgodzić.

- Czemu? - zapytał markiz. - Kocham cię, Idyllo. Nigdy jeszcze nie prosiłem o rękę żadnej kobiety. Nie kochałem też nikogo tak jak ciebie. - Ponieważ nic nie mówiła, dodał: - Kiedy biegłem nocą, aby zapobiec porwaniu, uświadomiłem sobie, że na niczym w życiu tak mi nie zależy jak na tobie. Utraciłbym wraz z tobą wzór doskonałości, coś, czego szukałem na próżno. Nie przypuszczałem, że znajdę swój ideał ratując czarownicę przed utopieniem w stawie.

- Może właśnie dlatego, że... szuka pan ideału i że wszystko, co pana otacza... jest doskonale... nie mogę wyjść za pana.

- Nie rozumiem.

- Przypomniałam sobie moje nazwisko i wiem, że nie jestem czarownicą, ale nie wiem, jak nazywał się mój ojciec.

Nie mogę nawet... mieć pewności, czy moi rodzice... byli małżeństwem. - Zaczerwieniła się. - Jak mógłby pan, osoba znakomita, żenić się z kimś takim... jak ja.

- Zapewniam cię, Idyllo, że niezależnie od tego, kim są twoi rodzice, będę się czuł szczęśliwy, jeśli zgodzisz się zostać moją żoną. Ale muszę ci coś powiedzieć. Spójrz na mnie, kochanie, i słuchaj uważnie. Jestem przekonany, że twoi rodzice byli małżeństwem, a także jestem niemal pewien, że twój ojciec pochodził ze znakomitej rodziny. Ale to trzeba udowodnić, co trochę potrwa. Zaufaj mi, zanim tajemnica twego pochodzenia nie zostanie i wyjaśniona.

Oczy Idylli rozbłysły radością.

- Kocham cię! - powiedziała. - Ty wiesz, że cię kocham! Ale nie chciałabym ci w niczym zaszkodzić. Mógłbyś kiedyś... żałować tego małżeństwa.

- To niemożliwe, nie będę tego żałować - rzekł. - Wiedziałem o twoim istnieniu, lecz nie umiałem cię odnaleźć. Ale rozumiem te zastrzeżenia. Mimo to nie zaprzestane starań, żebyś do mnie należała.

- Ja także tego pragnę - wyszeptała. - Ale mam na względzie twoje dobro.

- W taki sposób nikt jeszcze o mnie nie myślał - rzekł markiz.

Nigdy nie spotkał kobiety, która postąpiłaby tak wielkodusznie nie chcąc szkodzić jego pozycji w świecie.

- Pobierzemy się jak najprędzej! - rzekł. - Weźmiemy ślub i zapomnisz o wszystkich tragediach!

- Lecz teraz... ten człowiek... co zabił dziadka czyha na moje życie! Gdybyś się ze mną ożenił... mogłoby ci to... zaszkodzić. Uważaj, bądź ostrożny. On może zemścić się na tobie za to... że mnie uratowałeś.

- A więc boisz się o mnie, a nie o siebie? Och, kochanie, jesteś wprost aniołem!

Pocałował najpierw jej dłonie, a potem usta. Był to pocałunek bardziej ekstatyczny i namiętny niż ten, który wymienili wczorajszego wieczoru.

- Kocham cię! Boże, jak ja cię kocham! Pobierzmy się zaraz. Na co mamy czekać?

- Nie kuś mnie - tłumaczyła Idylla. - Nie możesz się ze mną ożenić, dopóki nie będziesz wiedział... kto jest moim ojcem. - Po chwili jednak dodała cichutko: - A może nigdy się tego nie dowiemy.

- Wówczas musiałbym czekać aż się zestarzejesz i oboje nie mielibyśmy sił, żeby dojść do ołtarza - zażartował markiz.

- Wezmę cię siłą, czy się na to zgadzasz czy nie!

- Nie utrudniaj mojej sytuacji, wystarczy, że musiałam ci odmówić. Jesteś człowiekiem dobrym i szlachetnym, więc nie nalegaj.

- Postaram się, żebyś mnie zawsze za takiego uważała - rzekł markiz, a zabrzmiało to jak przysięga.

Roger Clarke wszedł do biblioteki trzymając w ręce grubą księgę oprawną w skórę.

- Znalazł ją pan! - zawołał markiz przerywając pisanie.

- Leżała tam, gdzie pan powiedział, milordzie - odparł Roger Clarke kładąc księgę na biurku. - Ludzie szeryfa już byli na plebanii, kiedy tam przyjechałem. Proszę tego nie mówić panie Idylli, ale cały dom jest splądrowany od góry do dołu!

- Splądrowany? Ale dlaczego? I przez kogo?

- Chłopi podobno nic o tym nie wiedzą i nie mieli z tym nic wspólnego. Kobieta, która służyła na probostwie, pani Laver, powiedziała, że to się musiało stać nocą. Wychodząc z domu w dniu, w którym stwierdziła zniknięcie pastora i panny Idylli, zamknęła dom na klucz, lecz ktoś się włamał przez okno. Cały dom został przewrócony do góry nogami.

- Czy coś zginęło? - zapytał markiz.

- Pani Laver mówi, że nie. Srebra, porcelana, bibeloty panienki są na miejscu, lecz przeszukano każdą szufladę, każdą książkę zdjęto z półki.

- Mam przecucie, że zabrano już to, czego szukam w tej księdze - rzekł markiz.

Otworzył księgę. Zapisy sięgały pięćdziesiąt lat wstecz. Niecierpliwie przerzucał stronicę aż do roku 1780. Gdy doszedł do przełomu lat 1781 i 1782 przekonał się, że brakowało kilku kartek. Ktoś je wyrwał, ale pozostały ślady.

- To przykre, chyba pojechałem na próżno rzekł Roger Clarke.

- Nie na próżno, to tylko potwierdza moje przypuszczenia - odparł markiz. - Trzeba tę księgę zabezpieczyć i pilnować, żeby nie zginęła.

- Czy mam jeszcze coś załatwić na plebani milordzie?

- Nie, dziękuję - odparł markiz. - Myślę, że ta kobieta, pani Laver, posprząta plebanię. Oczywiście nie wspomnę o niczym panie Idylli.

- Nie musi o niczym wiedzieć, zanim nie wróci do domu - rzekł Roger Clarke.

- Jeśli wróci - wyszeptał markiz.

Markiz jadł z Idyllą obiad na balkonie. Śmiali się i gawędzili na różne tematy, starannie omijając ten, który ich najbardziej interesował. Markiz uważał, że im mniej wie służba o wydarzeniach ostatniej nocy, tym lepiej. Niania wraz z całą służbą wierzyła w chęć porwania Idylli z powodu uznania jej za czarownicę.

- Jacy ci ludzie w naszych stronach są zacofani - mówiła niania. Ze strachu przed demonami posuwają się do niegodnych czynów przy tropieniu czarownic.

- Co się stało, to się stało, lecz więcej już się nie powtórzy - powiedział markiz. - Teraz każdej nocy dwóch ludzi z psami

będzie patrolowało cały teren. Wszyscy mogą więc spać spokojnie, chyba że przebudzi ich szczekanie!

- Nie pozwolę, żeby ktokolwiek skrzywdził pannę Idyllę - rzekła niania poważnym tonem. - Pomogłam jej wyzdrowieć i chciałabym wiedzieć, dlaczego ją napastują!

- Ja też chciałbym to wiedzieć - odpowiedział markiz. - Myślę, że im mniej będzie się o tym wszystkim mówić, tym lepiej!

Markiz przekonał się, że po napaści zmienił się stosunek służby do Idylli. Byli oburzeni wtargnięciem kogoś obcego do zamku.

- Lokaje ze złości pobiliby tych ludzi, gdyby szeryf nie kazał ich zabrać - opowiadał Newman.

- Ich lojalność jest godna pochwały - zauważył markiz.

- Trzeba panu wiedzieć, milordzie, że dwóch służących, którzy się zwolnili po przybyciu panny Idylli, prosiło o ponowne przyjęcie.

- Myślę, że okażesz im wyrozumiałość, Newmanie.

- Nie tak szybko, milordzie. Trzeba im dać nauczkę. Tak łatwo w okolicy pracy nie znajdują, niech się trochę pomartwią!

- Lord Caspar zwalnia wiele ludzi - powiedział markiz.

Postanowił wybrać się po obiedzie do Trydell Hall, aby rozmówić się z Casparem Trydellem. Po przybyciu dowiedział się od Batesa, że lord Caspar wyjechał rano do Londynu.

- Wczoraj tu był, milordzie - tłumaczył Bates. - Chciałem wysłać do pana wiadomość, ale myślałem, że lord Caspar zostanie kilka dni, bo chyba takie miał plany.

- A co wpłynęło na zmianę decyzji? - zapytał markiz.

- Nie mam pojęcia - odparł Bates. - Dziś rano był w fatalnym humorze. Wszystko go złościło. Wreszcie kazał przygotować powóz i pojechał do Londynu.

- Kiedy spodziewacie się jego powrotu?

- Nie wiem, milordzie.

- Czy zabrał coś ze sobą? - zapytał markiz.

- Tak, ostatni obraz, jaki pozostał w salonie - odparł Bates. - Nie miał wielkiej wartości, tak mi kiedyś wyjaśniał adwokat pan Chiswick.

- Lord Caspar pewnie już sprzedał wiele obrazów - odezwał się markiz.

- Ma się rozumieć - rzekł Bates. Przeszedł przez hol i otworzył drzwi do salonu.

Wisiało tam kiedyś sporo obrazów, z których John Trydell był bardzo dumny. Zwłaszcza z portretów przodków. Markiz pomyślał, że lord Caspar musiał upaść bardzo nisko, jeśli posuwał się do wyprzedaży rodzinnych pamiątek.

- Na co lordowi Casparowi są tak bardzo potrzebne pieniądze? - zapytał.

- Na gry hazardowe, milordzie!

- Ach tak - rzekł markiz.

Wyszedł z pokoju, ponieważ widok pustych ścian sprawiał mu przykrość. Pomyślał, że Caspar Trydell dla hazardu pozbywa się pamiątek świadczących o wielkości jego rodu. Przez całą drogę powrotną rozmyślał o ostatnich wydarzeniach. Ponieważ zrobiło się późno, poszedł bezpośrednio do swego pokoju, aby się wykapać i przebrać do kolacji. Miała mu w niej towarzyszyć Idylla. Kiedy znalazł się w saloniku, w którym wczoraj jedli kolację, zastał ją stojącą przy oknie. Odwróciła się i krzyknęła radośnie rzucając się w jego objęcia.

- Kochanie, tak bardzo za tobą tęskniłem! - powiedział.

- A mnie się zdawało, że od obiadu minęły całe wieki! - wyszeptała.

- Tak mi ciebie brakowało! - wyznał całując ją.

Rozdział 7

Markiz patrzył na ogród pełen pachnących kwiatów i krzewów. Słońce chyliło się ku zachodowi barwiąc niebo oszałamiającymi kolorami. Pomyślał, że przez ostatnie dwa tygodnie czuł się szczęśliwszy niż kiedykolwiek, a powodem tego była Idylla. Nigdy jeszcze nie doświadczył tak ekstatycznego uczucia. Gdyby chciał posłuchać głosu swego serca, powinien zostać tu na zawsze, odciąć się od życia towarzyskiego z jego nie kończącymi się zobowiązaniami. Tutaj mogliby mieszkać z Idyllą i cieszyć się pięknem dzikiego krajobrazu Essex.

Nagle z westchnieniem przysunął do oczu list, który trzymał w ręce. List pochodził od George'a Summersa. Przywiózł go przy okazji posłaniec wyprawiony do Londynu w zupełnie innych sprawach. George Summers opisywał barwnie i zajmująco londyńskie przyjęcia i zabawy. Markiza szczególnie zainteresowała wiadomość, że pani Fitzherbert urządza wielkie przyjęcie w celu uczczenia ponownego jej zejścia się z księciem Walii. Oczywiście markiz był na nie zaproszony.

Gdyby nie wziął w nim udziału, księżę poczułby się urażony, lecz jego pojawienie się w Londynie wywołałoby wiele komentarzy. Pomyślał jednak o korzyściach, jakie mógłby przynieść mu ten przyjazd. Kiedy się nad tym zastanawiał, drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Idylla w pięknej zielonej sukni przypominającej barwę morze, z włosami upiętymi wysoko według ostatniej mody. Uśmiechnęła się do niego, a on uniósł jej dłoń i pocałował.

- Cieszę się - powiedział - że jesteś zdrowa.

- Tak, czuję się świetnie - odrzekła. - Rana na głowie już się zagoiła.

- Rad jestem z tego powodu, kochanie.

- Czy mogłabym jutro wybrać się z tobą na konną przejażdżkę?

- Mam inne plany, o czym chciałbym z tobą pomówić, ale dopiero po kolacji - odpowiedział markiz.

Po kolacji przeszli do salonu wypełnionego purpurowym blaskiem zachodzącego słońca. Kiedy usiedli zapytała:

- Czy coś... cię martwi?

- Nie, nie jestem zmartwiony, kochanie - odpowiedział. - Nie wiem tylko, jak mam ci to powiedzieć.

- Co takiego?

- Chciałbym, żebyś pojechała ze mną do Londynu.

- Do... Londynu? - zapytała nerwowo. - Czemu mamy tam jechać... skoro tu jest nam tak dobrze?

- Z jednego powodu - odpowiedział. - Przecież obiecałaś wyjść za mnie pod warunkiem, że znajdę dowód twojego pochodzenia,

- I sądzisz, że znajdziesz go w... Londynie?

- Tak - rzekł markiz. - Tu zbadałem wszystko, jednak wciąż brak mi zasadniczego ogniwa. - Idylla milczała, więc mówił dalej: - Kocham cię i pragnę twego bezpieczeństwa. Chcę, żebyś stale była przy mnie, we dnie i w nocy. Obecnie będę się wiele razy niespokojny, czy ci się coś nie stało.

Jego słowa wzruszyły ją do głębi, wstała z sofy i uklękła u jego stóp.

- Kocham cię także - powiedziała. - I bardzo pragnę... zostać twoją żoną. - Spuściła oczy i zaczerwieniła się: - Ja także nocą się boję - wyznała. - I chciałabym... być w twoich... ramionach.

- I tak może być! - rzekł markiz. - Pobierzmy się, zanim wyjedziemy do Londynu! Przecież mi ufasz i wiesz, że rozwiążę tę zagadkę prędzej czy później.

- Ostatniej nocy myślałam o tym - odezwała się podnosząc wzrok ku niemu - że tyle mi dałeś, a ja mam ci tak

niewiele do ofiarowania. Kocham cię nie tylko jak kobieta, lecz jak matka. Niania opowiadała mi, jak bardzo byłeś samotny jako chłopiec, pozbawiony matczynego ciepła. Tak właśnie chciałabym cię kochać, dać to, czego nie miałeś w dzieciństwie. - Przerwała na chwilę, a potem dodała: - To właśnie dlatego nie chciałabym cię zranić ani sprawić ci zawodu, gdybyś po ślubie dowiedział się, kim jestem naprawdę.

- Wiem, jakie jest twoje pochodzenie - rzekł markiz. - Tylko nie mogę na to znaleźć dowodu. Powiem ci o tym, gdy go znajdę i gdy wszyscy dowiedzą się prawdy.

- Musimy więc poczekać - wyszeptała. - Będę się modliła gorąco... żeby to nie trwało zbyt długo.

- Ja też się o to modlę - odrzekł markiz.

W ogrodach Castle House w Ealing wzniesiono namioty dla gości, którzy zaproszeni na godzinę drugą mieli się bawić aż do kolacji wyznaczonej na siódmą. Kilka orkiestr przygrywało bez przerwy, a ogród ozdobiono dodatkowo pięknymi, kosztownymi kompozycjami z kwiatów.

Przybyli wszyscy znajomi księcia Walii. Ci, którzy odnosili się chłodno do pani Fitzherbert po jej separacji z księciem, teraz przymilali się do niej. Markiz zawsze uważał, że pani Fitzherbert ma lepszy wpływ na księcia niż inne kobiety, które obdarzał swymi względami. Kiedy na przyjęciu pojawił się markiz z Idyllą, pani Fitzherbert wydała okrzyk radości.

- Miałam nadzieję, że zaszczyci nas pan swoją obecnością, milordzie - rzekła. - Księżę był bardzo zmartwiony pańską długą nieobecnością.

- Ale wróciłem i jestem wdzięczny za wyrażenie przez panią zgody na przywiezienie panny Salford.

Pani Fitzherbert uśmiechnęła się do Idylli, która złożyła jej ukłon, po czym wróciła do przerwanej rozmowy z markizem:

- Mam panu wiele do opowiedzenia, milordzie - rzekła. - Będziemy biedni jak myszy, lecz weseli jak świerszcze!

- I tylko to się liczy! - odparł markiz.

Gdy inni goście witali się z panią Fitzherbert, markiz wziął Idyllę pod rękę i zaczęli spacerować po namiocie pozdrawiani przez licznych przyjaciół markiza. Kobiety były bardzo ciekawe, kim jest osoba, która mu towarzyszy. Idylla wyglądała nadzwyczaj pięknie w sukni sprowadzonej dla niej do Aldridge House, zamówionej wcześniej przez markiza u pani Valerie. Suknia podkreślała jej urodę i była równie niezwykła jak ona sama. Idylla nie nosiła żadnej biżuterii oprócz brylantowego krzyżyka na szyi, niemniej rzucała się w oczy bardziej niż wyelegantowane piękności.

Kiedy prosto z Essex przybyli do Aldridge House czekała już tam na nich kuzynka markiza, lady Constance Howard, którą markiz poprosił listownie, żeby przybyła z Islington do jego siedziby i zgodziła się pełnić rolę przyzwoitki młodej damy. Lady Constance, która po śmierci męża bardzo się nudziła w swoim domu, przyjęła propozycję krewniaka z radością. Tylko kilka razy była w Aldridge House i bardzo jej pochlebiało, że kuzyn zwrócił się do niej o pomoc. Była to osoba miła i zrównoważona, więc markiz mógł być pewien, że Idylla ją polubi. Nie zawiódł się, bo obie kobiety przypadły sobie do gustu i lady Constance wyznała markizowi, iż trudno sobie wyobrazić bardziej czarującą młodą damę niż Idylla.

- Gdzie znalazłeś taki skarb, Oswinie? - pytała.

Markiz zdawał sobie sprawę z ciekawości Constance, lecz nie kwapił się z wyjaśnieniami, które zostałyby zaraz powtórzone innym osobom.

- Opowiem o tym innym razem - rzekł. - Jestem ci bardzo wdzięczny za przybycie i podjęcie się funkcji opiekunki Idylli.

- Nie musisz mi dziękować - powiedziała lady Constance.
- To dla mnie wielki zaszczyt przebywać w twoim domu. Możesz na mnie liczyć, zrobię dla ciebie wszystko. - Uśmiechnęła się i dodała: - Jak wiele innych kobiet!

Markiz był szczególnie ostrożny przedstawiając Idyllę swoim przyjaciołom. Obawiał się niechęci, jaką mogła wzbudzić. Szczęśliwie się złożyło, że nie było w Londynie lady Brampton, która musiała wyjechać na wieś pielęgnować ciężko chorego męża.

Księżna Devonshire oraz księżna Harrowly wychwalały pod niebiosa urodę Idylli, a znajomi mężczyźni prześcigali się w komplementach. Księżę Walii też ocenił ją okiem znawcy.

Kiedy po rozmowie z księciem zamierzali wyjść z namiotu, gdzie było zbyt gorąco, natknęli się na wchodzącego właśnie mężczyznę. Nagle Idylla mocniej przyłgnęła do markiza, a on spojrzał na tego człowieka. Był to Caspar Trydell. O ile Idylla była zaskoczona, on także był skonsternowany, lecz opanował się i patrząc na markiza powiedział:

- Jestem zdumiony widząc cię tutaj, Aldridge. Myślałem już, że zadomowiłeś się w Essex!

- Nie wypadało nie uczestniczyć w tak ważnej uroczystości! - rzekł markiz.

- Ma się rozumieć - odrzekł lord Caspar. Wymieniali banalne słowa, lecz pomiędzy nimi czaiła się wrogość. Nagle lord Caspar uklonił się i odszedł nie spojrzawszy nawet na Idyllę. Markiz czuł jej drzenie i wyprowadził ją na powietrze.

- To... ten człowiek! To on... zabił dziadka! - powiedziała z trudem.

- Tego się spodziewałem! - rzekł markiz. - Chciałem, żebyś go zidentyfikowała.

Mówił spokojnym głosem, prowadząc Idyllę do zacisznego miejsca, gdzie mogliby usiąść i porozmawiać.

- Nie mogę się... mylić i... jak mi się zdaje... on mnie także rozpoznał!

- Z całą pewnością! - oświadczył markiz. - Wiedziałem, że tu odnajdziemy Caspara Trydella. Domyśliłem się, że po powrocie do Londynu nie przyjedzie już na wieś. Jego kamerdyner Bates poinformował mnie o przekazanym mu poleceniu, aby zamknął dom.

- Chciał zapewne uniknąć spotkania ze mną? - rzekła Idylla.

- Mógł przypuszczać, że go rozpoznasz i dlatego postanowił cię porwać.

- Co on teraz zrobi? - zapytała Idylla cichutko.

- Później ci powiem, co ja zamierzam zrobić - odrzekł markiz. - Teraz postaraj się nie myśleć o Casparze Trydellu i baw się wesoło.

Ponieważ Idylla nie chciała zepsuć markizowi przyjemności spotkania z przyjaciółmi, siłą woli opanowała strach. Choć pobladła, starała się jednak prowadzić swobodną rozmowę z dżentelmenem, którego posadzono obok niej przy kolacji. Usłyszała od niego, że nie minie tydzień, jak zostanie obwołana „niezrównaną pięknnością”. Gdy kolacja złożona z licznych dań dobiegła końca, goście przeszli do ogrodu. Tam, na specjalnie przygotowanych pod drzewami parkietach, odbywały się tańce.

- Stąd uda nam się wymknąć bez wzbudzania niczyjej uwagi - rzekł markiz.

- Czy to przyjęcie potrwa jeszcze długo? - zapytała Idylla.

- Byłbym zdumiony, gdyby się zakończyło przed piątą rano - wyjaśnił.

Wydawała się zaskoczona, lecz nic nie rzekła.

Potem pozwoliła się poprowadzić do wyjścia, gdzie oczekiwały powozy. Pora była jeszcze wczesna, kiedy zmierzali w kierunku Berkeley Square.

- Tak bardzo chciałam z tobą zatańczyć - rzekła.

- Nadarzy się jeszcze inna sposobność - odpowiedział całując jej dłoń.

- Niestety... nie tańczę zbyt dobrze, choć uczyła mnie mama, a ona tańczyła świetnie.

- Jestem przekonany, że wspólny taniec uda nam się znakomicie - zapewnił ją markiz. - Pasujemy do siebie we wszystkim, kochanie.

Kiedy weszli do domu, kamerdyner zameldował:

- Lady Constance bardzo przeprasza, ale udała się na spoczynek. Nie spodziewała się waszej lordowskiej mości tak wcześnie.

Markiz podziękował za wiadomość skinieniem głowy i przeszedł z Idyllą do biblioteki. Okna wychodzące na ogród były otwarte, lecz w porównaniu ze zgiełkiem na przyjęciu u pani Fitzherbert tutaj panowała cisza. Markiz objął Idyllę i podprowadził do okna.

- Czy ufasz mi całkowicie, kochanie? - zapytał po chwili.

- Dobrze o tym wiesz, ufam ci i Kocham cię z całego serca - wyznała.

- Nigdy nie kochałem tak żadnej kobiety i nie sądziłem, że można tak kochać.

- Domyślam się, że chcesz mi powiedzieć coś ważnego - rzekła Idylla.

- Chcę, żebyś zrobiła dokładnie to, o co cię teraz poproszę - rzekł poważnie.

- Możesz być pewien, że cię posłucham - odrzekła.

- Może ci się to wydać nieco dziwne, a nawet niebezpieczne, ale uwierz mi, kochanie, w rzeczywistości nie

będzie takie straszne. Będę cię ochraniał, nawet gdybyś mnie nie widziała przy sobie.

- Nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć? - zapytała zdumiona.

- Chcę, żebyś sama wyszła do ogrodu - rzekł po chwili. - Podejdiesz do trawnika i uniesiesz głowę, jakbyś podziwiała gwiazdy i myślała o miłości.

- Chcesz, żebym to zrobiła... teraz? - zapytała.

- Zrobisz to dokładnie pięć minut po moim wyjściu z domu - poinstruował ją markiz.

- Opuszczasz dom? - zdziwiła się. - A dokąd się wybierasz?

- Powiedziałem, zaufaj mi - rzekł. Nie jesteś sama, jesteś bezpieczna, choć może ci się wydawać inaczej. Pamiętaj o jednym - dodał - że kocham cię z całej duszy. Jesteś moja i nigdy cię nie opuszczę!

Wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie, czując gwałtowne bicie jej serca.

- Kocham cię - wyszeptała, gdy uwolnił ją z objęć. - Nie przypuszczałam, że miłość jest tak wspaniała.

- Pamiętaj, kochanie, masz wyjść i spoglądać w gwiazdy. I wyobrażaj sobie, że wzlatusz tam razem ze mną. Odwrócił się od okna i spojrzął na zegar stojący na kominku. - Odczekasz pięć minut od momentu, kiedy usłyszysz, że powóz odjeżdża. Zostawię drzwi otwarte.

Idylla patrzyła na niego oczami pełnymi zdumienia. Wiedział jednak, że w odróżnieniu od innych kobiet robi dokładnie to, czego od niej wymagał.

Wielką miłość można poznać po szczegółach - pomyślał markiz.

Mijając hol wziął od kamerdynera kapelusz i zszedł do oczekującego na niego powozu. Idylla usłyszała odgłos zamykanych drzwi i spojrziała na zegar. Było wpół do

dwunastej. Podeszła do drzwi salonu, zatrzymała się, rozejrzała po rześście oświetlonym pokoju i przyszło jej na myśl, że ten dom jest znakomitym tłem dla osobowości markiza. Wszystko w nim było doskonałe.

On jest nadzwyczajny, a przy tym taki dobry i wyrozumiały - pomyślała. Nie domyślała się, jak wiele osób zdumiałoby się jej opinią o markizie.

Kocham go - pomyślała i znów spojrzała na zegar, który wskazywał za dwadzieścia pięć dwunastą. Potem powoli przez szerokie balkonowe drzwi wyszła do ogrodu. Pachniało kwiatami i zdawało jej się, że słyszy głos słowika. Podeszła do trawnika i stanęła pośrodku unosząc twarz ku górze. Tak głęboko pograżyła się w rozmyślaniach, że ocknęła się dopiero, gdy stanął tuż przy niej mężczyzna, który wyłonił się z krzaków. Krzyknęła i przycisnęła ręce do piersi. To był Caspar Trydell! Stanęła oko w oko z ucieleśnieniem zła, z mordercą dziadka!

- To pan!

Nie była pewna, czy to rzeczywiście powiedziała, bo była sparaliżowana strachem, nie mogła się poruszyć ani oddychać.

- Tak, to ja! - odparł Caspar Trydell. - Teraz umrzesz na pewno! - Włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej jakiś błyszczący przedmiot. Idylla domyślała się, co teraz uczyni, lecz nie była zdolna nawet krzyknąć. Caspar Trydell uniósł ramię. - Giń, przekłeta! - zawołał i w tej samej chwili z ciemności odezwał się głos:

- Zatrzymaj się!

Ten głos brzmiał jak rozkaz i Caspar Trydell powstrzymał cios. Ujrzał zbliżającego się pułkownika Trumble, szeryfa z Essex, wraz z towarzyszącymi mu karabinierami w uniformach. Rozejrzał się poszukując drogi ucieczki, lecz nagle z domu wybiegł markiz z pistoletem w dłoni.

- Casparze Trydellu, oskarżam pana o zamordowanie pastora z Gore, wielebnego Algernona Salforda, i o usiłowanie morderstwa na jego wnuczce Idylli Trydell. Jest pan także podejrzany o dokonanie zabójstwa swojego brata Johna Trydella!

Głos szeryfa brzmiał złowieszczo i Caspar Trydell stał jak skamieniały. Nagle błyskawicznym ruchem zatopił długi sztylet w swojej piersi i upadł na ziemię.

Kiedy zostali sami, markiz nalał Idylli wina, a ona zapytała:

- Czemu nie powiedziałeś mi... o wszystkim?

- Bałem się, że cała rzecz może się nie udać - odpowiedział.

- Więc ty wiedziałeś... kto zabił dziadka?

- Wiedziałem, ale nie miałem dowodu - rzekł. - Gdybyś stanęła przed sądem, wzięliby cię w krzyżowy ogień pytań, jako jedyne go świadka oskarżenia. Nie chciałem do tego dopuścić.

- A skąd się dowiedziałeś, kim był mój ojciec? - zapytała.

- Przyszło mi do głowy, że to mój przyjaciel John Trydell mógł być twoim ojcem, kiedy mi opowiadałaś, że mieszkaliście na drugim brzegu rzeki. Często przepływaliśmy z Johnem rzekę ścigając się - tłumaczył. - Jeśli twoja matka była równie piękna jak ty, nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby zakochał się w niej.

- Mama była stokroć piękniejsza ode mnie!

- Trudno mi w to uwierzyć! - uśmiechnął się markiz całując ją w czoło, a potem dodał: - Miałem nadzieję znaleźć zapis ich ślubu w księdze parafialnej. Caspar Trydell też go szukał plądrując plebanie.

- Niemożliwe? - zawołała Idylla.

- Ale wszystko jest już uporządkowane - pocieszał ją markiz - choć ty tam nie wrócisz.

- Czy udało ci się stwierdzić, że moi rodzice... byli małżeństwem? - zapytała. - Przecież w księdze parafialnej nie było zapisu?

- Nie było, bo twoja matka usunęła tę stronicę, jak również tę, na której zapisano twoje narodziny. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że oddała je na przechowanie adwokatowi twojego dziadka mieszkającemu w Chelmsford. - Wyjął z kieszeni kopertę i wręczył Idylli: - Jeśli wciąż mi nie wierzysz, że jesteś dzieckiem z prawego łóża, to tu masz dowód!

Idylla otworzyła kopertę, znalazła dwie brakujące stronicę z księgi parafialnej i przeczytała je z pałającymi oczami.

- Pan Chiswick, adwokat, zostawił tę kopertę dziś rano, kiedy poszłaś na górę przygotować się na przyjęcie, więc nie chciałem ci przeszkadzać - wyjaśnił markiz. - Udało mi się namówić go do oddania listu zaadresowanego do ciebie, który miał być ci przekazany w dwóch wypadkach.

- Jakich? - zapytała.

- Gdybyś wychodziła za mąż albo przeżyła swoją matkę i dziadka, co się w istocie stało.

- Ale dlaczego mama nie wyjawiała mi, kim był mój ojciec?

- Pan Chiswick wyjaśnił, że twoja matka wyznała, iż jest szantażowana przez osobę, której nazwiska nie wymieniła. Zapewne grożono jej śmiercią, jeśli ujawni swoje małżeństwo. Pan Chiswick opowiadał mi, że twoja matka mimo strachu była na tyle dzielna, by wręczyć mu list do ciebie.

Tak więc, kochanie, możemy się pobrać, gdy tylko poczynię odpowiednie przygotowania.

Idylla wpatrywała się w kartki wyrwane z księgi parafialnej.

- Czy Caspar Trydell z powodu szantażowania mamy zabił mojego ojca?

- Twój ojciec miał na głowie taką samą ranę jak dziadek - wyjaśnił markiz. - To nie mógł być przypadek. Teraz wiem, że Caspar zgładził swojego brata dla zdobycia majątku. Dopiero gdy poznał testament ojca pozostawiający wszystko Johnowi lub jego potomstwu, zorientował się, że ty jesteś spadkobierczynią.

- Chcesz powiedzieć... że do mnie teraz należy... cały majątek Trydellów?

- Tak, kochanie! - rzekł markiz. - Ale, jak sądzę, połączysz go z sąsiednim majątkiem!

Przytuliła się do niego, a on odstawił kieliszek i objął ją mocno.

- Teraz już wszystkie koszmary mamy za sobą - rzekł. - Pozbyliśmy się raz na zawsze Caspara Trydella!

- Już nikt nie będzie mnie uważał za czarownicę - wyszeptała.

- Caspar położył cię pośród tych kamieni, bo myślał, że nie żyjesz i chciał, żeby chłopcy profanując twoje ciało wyładowali gniew przeciwko czarownicom. Ale zapomnijmy już o tym. Tylko nie da się ukryć jednego.

- Czego? - zapytała.

- Mimo krzyżyka na szyi rzuciłaś na mnie urok! Jestem tobą zauroczony i chcę pozostać twoim niewolnikiem na zawsze!

Idylla uniosła głowę, a markiz zbliżył usta do jej ust.

- Jesteś moja na zawsze. Jesteś moją czarownicą - jedyną kobietą, którą pragnę poślubić.

- Czy jesteś tego... pewien?

- Tak! Kiedy cię pierwszy raz ujrzałem, wiedziałem, że nie jesteś podobna do innych kobiet. To, co do ciebie czuję, to istna magia. A gdy mi obiecałaś dać miłość, jakiej nie zaznałem w dzieciństwie, byłem pewny, że jesteś moim ideałem!

- Nie jestem... ideałem... mogę cię rozczarować... - wyszeptała.

- Ależ jesteś i jestem pewien, że nie sprawimy sobie zawodu.

- O to będę się zawsze modlić - szepnęła. - Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Nie dokończyła, bo namiętne pocałunki markiza wprawiły ją w ekstazę.

- Kocham cię.

- Kocham... cię.

Te słowa były na ich ustach i w ich sercach. Idylla czuła, jakby markiz unosił ją ku niebu, gdzie nie ma zła, a jest tylko miłość!